

**MAGGIE KINGSLEY**

# **Z potrzeby serca**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Mówię poważnie, Izzie, ten człowiek jest prawdziwym utrapieniem - oznajmił Steve, sięgając do wiszącej w łazience szafki. - To arogant i despota...

- Chyba nie jest mu łatwo. W końcu wyjechał z Newcastle, podjął nową pracę w Kelso - odrzekła Izzie, biorąc szczotkę do włosów. - Może nie czuje się tu jeszcze zbyt pewnie.

- Och, aż nadto pewnie - odparł z irytacją. - Przez ostatnie dwa tygodnie rozłożył na łopatki cały personel.

To niedobrze, pomyślała Izzie, usiłując upiąć swe kręcone włosy w ciasny węzeł na czubku głowy. Dopóki głównym konsultantem oddziału nagłych wypadków był Charlie Wright, personel stanowił zgodny, zżyty zespół. Kiedy przeniósł się na południe, wszystko uległo zmianie - i to wcale nie na lepsze.

- Może potrzebuje trochę czasu, żeby przyzwycząić się do tutejszych warunków? - dodała. - A gdybyś tak z nim porozmawiał...

- Porozmawiać z nim?! - zawołał Steve. - Kochanie, Ben Farrell nie rozmawia. On po prostu wydaje rozkazy, a my musimy je wykonywać.

Izzie zmarszczyła czoło. Poznała Steve'a pół roku temu, kiedy podjął pracę w Kelso, a trzy miesiące później zamieszkali razem. Przez cały ten czas nigdy nie widziała go w złym humorze, ale tego ranka.

- Szkoda, że nie było mnie tu, kiedy przyjechał - mruknęła.

- Gdybym siedziała na miejscu zamiast wyjeżdżać do rodziców. ...

- Zapewniam cię, że to niczego by nie zmieniło - przerwał jej. - Absolutnie nikt nie jest w stanie się z nim porozumieć.

- Steve, a może ten Farrell...

- Czy musisz ciągle o nim mówić? - sarknął ze złością.

- Ten człowiek to wariat, rozumiesz?

Wyszła za nim z łazienki, zerkając na niego z zakłopotaniem. Przecież nie tylko ja mówię od samego rana o nowym szefie, pomyślała, ale zachowała tę uwagę dla siebie.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego musisz przeprowadzić się z powrotem do mieszkania służbowego - powiedziała, widząc, że Steve wkłada wodę po goleniu do walizki. - Przecież egzaminy masz dopiero pod koniec sierpnia...

- Te egzaminy są dla mnie bardzo ważne. Czy sądzisz, że do końca życia chcę pracować na stanowisku młodszego asystenta?

Izzie doskonale to rozumiała, lecz nie była w stanie ukryć rozczarowania. Widząc to, Steve wyciągnął do niej rękę.

- Przepraszam, kochanie. Nie powinienem na ciebie krzyżować. Co słyhać u rodziców? Zapomniałem o to spytać.

Roześmiała się i przytuliła do niego, gdy przypomniała sobie, co wówczas zaprzętało jego umysł.

- Tata czuje się dobrze, ale mamie dokuczają serce...

- Do diabła, to już tak późno? - przerwał jej Steve. - Nasz nowy szef wymaga, żebyśmy przychodzili do pracy pół godziny przed dyżurem, żeby mógł poinformować nas o bieżących sprawach, zanim podbijemy kartę zegarową.

- Och, Steve, dlaczego nie powiedziałeś mi o tym? - zawołała z przerażeniem. - Jest piętnaście po siódmej i za skarby świata nie zdążę na wpół do ósmej!

- Uspokój się - rzekł z uśmiechem, kiedy zaczęła się szybko

ubierać. - Nasz pan i władca zapewne nie spodziewa się, że znasz nowe zasady. Przecież byłeś na urlopie, prawda?

- Owszem, ale...

- Cieszę się, że już wróciłeś - oznajmił, całując ją delikatnie w nos. - Tęskniłem za tobą.

- Ja również...

Nie była pewna, czy ją usłyszał. Wybiegł z domu, a ona podeszła do okna, by raz jeszcze na niego spojrzeć. Jest taki przystojny, czarujący i zabawny, pomyślała z westchnieniem, a mimo to wybrał mnie. Dziewczynę, która może pochwalić się tylko błyszczącymi oczami i szopą jasnych włosów. Dziewczynę, która jest równie wysoka jak on.

I naprawdę ją kochał. Nie miała do niego żalu, że do tej pory jeszcze jej się nie oświadczył, ale - tak jak powiedziała swej matce - to tylko kwestia czasu. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że skoro zakochała się bez pamięci w kimś takim jak Steve Melville, to nie powinna wywierać na niego presji, by wyznaczył datę ślubu.

Powoli odwróciła się od okna. Gdy spojrzała na zegarek, krzyknęła z przerażenia. Wiedziała, że jeśli zaraz nie wyjdzie z domu, nie zdąży do szpitala nawet na ósmą. Jeśli w opinii Steve'a o Benie Farrellu jest choć żdźbło prawdy, to nowy szef na pewno nie zostawi na niej suchej nitki.

- Jak ci się udał urlop? - spytała z uśmiechem Fran Walton, gdy za dwadzieścia ósma Izzie wpadła do pokoju dla personelu.

- Wspaniale, dziękuję - odparła, wieszając kurtkę na drzwiach. - Fran, jaki naprawdę jest doktor Farrell?

- W jakim sensie? - spytała siostra przełożona.

- Chodzi mi o jego wygląd - wyjaśniła Izzie pośpiesznie, choć w istocie wcale jej to nie interesowało.

- No cóż, ma czarne włosy i szare oczy...

- I jest w dość podeszłym wieku - wtrąciła Tess Golding, wpadając do pokoju. - I zaczyna już siwieć na skroniach.

- Wiele osób wcześniej siwieje, moja droga - odrzekła Fran z oburzeniem. - A on wcale nie jest stary. Ma zaledwie czterdzieści lat.

Młoda praktykantka i Izzie wymieniły ukradkowe spojrzenia. Nie było tajemnicą, że w nadchodzącym roku Fran skończy czterdzieści lat i jest na tym punkcie przewrażliwiona.

- Niski, wysoki, przystojny, przeciętny? - pytała Izzie.

- Wysoki - odrzekła Tess. - Kiedy z nim rozmawiam, boli mnie szyja od zadzierania głowy.

- Ciebie boli szyja nawet wtedy, kiedy rozmawiasz z dzieścioletnim pacjentem - zażartowała Fran.

- No dobrze, nie grzeszę wzrostem, ale on jest naprawdę wysoki. A co do jego urody... - Zmarszczyła nos. - Nie uważam go za przystojnego. Jak sądzisz, szefowo?

Fran potrząsnęła głową.

- Steve uważa, że on jest nieco... apodyktyczny - wyjąkała Izzie.

- Z pewnością ma zdecydowany pogląd na temat funkcjonowania naszego oddziału, ale dopóki wypełniasz jego polecenia, wszystko jest w porządku - wyjaśniła Tess. - A dobrze wiesz, jaki jest Steve. Zawsze się śmieje, ciągle żartuje, a pan Farrell nie ma poczucia humoru.

- Co? Ani za grosz? - spytała Izzie ze zdumieniem.

Tess potrząsnęła głową.

- Interesuje go wyłącznie praca - oznajmiła Fran. - A skoro już o tym mowa - ciągnęła, wstając z krzesła - lepiej ruszajmy do naszych obowiązków. On ma bzika na punkcie punktualności - dodała i obie z Tess spiesznie opuściły pokój.

Izzie podeszła do lustra. Ciemnoniebieski mundurek pielęgniarki był bez zarzutu, czarne pantofle lśniły czystością, jedynie

włosy sprawiały jej jak zwykle duży kłopot. Poprawiła niesforne loki, które znowu wysunęły się spod czepka.

Wiedziała, że te wysiłki i tak pójdą na marne i za pół godziny włosy ponownie opadną jej na ramiona. Patrząc na swe odbicie w lustrze, doszła do wniosku, że przynajmniej na razie wygląda schludnie. Z westchnieniem naciągnęła czepkę na głowę, a potem otworzyła drzwi i wpadła prosto na jakiegoś nieznajomego w białym kitlu.

- Przepraszam - wybąkała, czując na ramionach mocny uścisk dłoni, które należały do lekko siwiejącego na skroniach, czarnowłosego mężczyzny. Zerknęła na identyfikator i mimowolnie się uśmiechnęła. - Dzień dobry, doktorze Farrell - powiedziała. - Nazywam się Izzie Clark.

- I spóźniła się pani do pracy.

Jej uśmiech zamarł. To tyle, jeśli chodzi o miłe powitanie, pomyślała i uniosła przypięty do mundurka mały zegarek.

- Wcale nie jestem spóźniona - odrzekła. - Zaczynam dyżur o ósmej, a teraz jest dopiero za dwie minuty...

- Prosiłem, żeby personel był na miejscu przynajmniej pół godziny przed rozpoczęciem dyżuru - przerwał jej obcesowo.

- Rozumiem - odparła chłodno - ale byłam na urlopie i dowiedziałam się o tym zarządzeniu dopiero dziś rano.

Nie potrafiła niczego wyczytać z jego szarych oczu. Ku swemu zaskoczeniu stwierdziła, że rozmawiając z nim, musi podnosić głowę. Tess się myli. Ben Farrell nie jest wysoki; to po prostu olbrzym. Ma sporo ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i jest potężnie zbudowany.

- Co to za imię: Izzie? - spytał niespodziewanie.

Na jej twarzy znów zagościł uśmiech.

- Mam na imię Isabella, ale kiedy byliśmy dziećmi, jeden z moich braci nie potrafił tego wymówić i nazywał mnie Izzie. To zdrobnienie jakoś do mnie przyłgnęło.

- Doprawdy? - spytał sucho, a ona ze złością poczuła, że się czerwieni.

Nigdy dotąd nie przyszło jej do głowy, że ktoś może uważać zachowanie imienia z dzieciństwa za niemądre, a ten człowiek dał jej to wyraźnie do zrozumienia.

- Doktorze Farrell...

- Będę zobowiązany, jeśli w przyszłości postara się pani przychodzić punktualnie, siostró - przerwał jej. - Jeśli ktoś z takim stażem pracy jak pani nie przestrzega obowiązujących zasad, daje tym samym zły przykład młodszym pielęgniarkom.

Niemal otworzyła ze zdziwienia usta. Można by pomyśleć, że celowo lekceważy jego zarządzenie! A skąd, do diabła, miała o nim wiedzieć? Przecież nie jest jasnovidzem.

Pobiegła za nim, zamierzając powiedzieć mu kilka słów prawdy, lecz był już pochłonięty rozmową z rejestratorką.

- Mamy dziś pacjentów głównie z lekkimi obrażeniami, doktorze Farrell - relacjonowała Aprii. - Naciągnięte mięśnie, drzazga w palcu.

- Co takiego? - spytał, biorąc książkę zgłoszeń.

- Wiem, wiem - powiedziała Aprii z westchnieniem. - To nie są nagłe wypadki, ale niektórym nie da się tego wytłumaczyć. W trójce jest pani Bolton, która skarży się na ostre bóle brzucha, a w dwójce pani Taylor z raną prawej dłoni...

- A tej drobnej staruszce pod oknem co dolega? - spytał.

Aprii spojrzała błagalnie na Izzie, która pospiesznie wzięła książkę zgłoszeń z rąk szefa.

- Nic poważnego - wyjaśniła. - Sądzę, że doktor Melville niebawem ją przyjmie.

Przez chwilę miała wrażenie, że Ben Farrell zamierza wdać się z nią w dyskusję, ale on tylko kiwnął głową.

- W porządku. Chodźmy do pani Bolton - powiedział.

Izzie posłusznie podażyła za nim, lecz wiedziała, że jedynie odroczyła to, co było nieuniknione. Ben Farrell na pewno w końcu odkryje, że Mavis nic nie dolega. „Drobna staruszka” lubiła przesiadywać w poczekalni i gawędzić z pacjentami. Charlie stwierdził, że jej obecność nikomu nie przeszkadza, i przestał zwracać na nią uwagę. Izzie podejrzewała, że Mavis jest po prostu samotna, ale wątpiła, by doktor Farrell uznał to za wystarczający powód jej ciągłych wizyt.

- Podobno dokucza pani ból brzucha, pani Bolton - powiedziała teraz, spoglądając na bladą kobietę w średnim wieku.

- Myślałam, że zaszkodziło mi coś, co zjadłam wczoraj wieczorem - odparła słabym głosem - ale ból jest coraz większy...

- Czy jest kłujący, czy jednostajny?

- I jedno, i drugie. Przykro mi, że nie mogę tego dokładniej sprecyzować. Wiem tylko tyle, że to cholernie boli. Przepraszam, siostrzo.

- Nie ma za co - odrzekła Izzie ze śmiechem, rozpinając jej bluzkę i spódnicę. - Zapewniam panią, że słyszałam już w życiu znacznie gorsze słowa.

- Czy tutaj panią boli? - spytał Ben, delikatnie uciskając palcami brzuch pacjentki. - A w tym miejscu?

- Tu! - zawołała, skręcając się z bólu, gdy dotknął prawej strony brzucha. - Właśnie w tym miejscu. Przepraszam, ale chyba... zbiera mi się na wymioty!

Izzie w ostatniej chwili podsunęła jej pod brodę miskę.

- To wygląda na wyrostek robaczkowy - oświadczył Ben. - Zajmę się przygotowaniem dla pani miejsca w szpitalu.

- Chce pan powiedzieć, że muszę tu zostać? - wyszeptwała, blednąc jeszcze bardziej. - Ale mój mąż, rodzina... Nie mówiłam im, że się tu wybieram.

- Rejestratorka zawiadomi pani rodzinę.

- Ale...



- Ból sam nie przejdzie, pani Bolton - rzeki Ben łagodnie.
- Prawdę mówiąc, może się jeszcze bardziej nasilić.
- Tak, ale...
- Żadnych „ale”, pani Bolton - przerwał jej ostrym tonem.
- Jest pani tutaj i tu pani zostanie.
- Na Boga, siostrzo, ależ on jest okropnie despotyczny, kiedy się rozniewa - zażartowała pani Bolton słabym głosem, a Izzie dostrzegła na twarzy Bena lekki uśmiech.

Tess miała rację, twierdząc, że nie jest przesadnie przystojny. Rysy jego posępnej twarzy były dość surowe, ale... intrygujące. Tess mówiła również, że Ben nie ma poczucia humoru, lecz Izzie dostrzegła rysujące się wokół jego oczu i ust lekkie zmarszczki mimiczne. Widząc zaś bruzdę na jego czole, zaczęła się zastanawiać, co było tego przyczyną.

- Przepraszam, że siostrze przeszkadzam - odezwał się nagle - ale może na chwilę przestanie pani bujać w obłokach i poprosi siostrę Golding, żeby zajęła się panią Bolton, a ja w tym czasie zadzwonię na chirurgię.

Izzie spurpurowiała ze wstydu. Co, do diabła, w nią wstąpiło, żeby w czasie pracy aż tak się zamyślać?

- Siostrzo, on chyba wstał dziś lewą nogą - wyszeptała pani Bolton, gdy Ben wyszedł.

Izzie podejrzewała, że doktor Farrell nigdy nie wstaje z łóżka prawą nogą, ale kiwnęła głową i ruszyła na poszukiwanie siostry Golding. Zachowałam się najgłupiej jak mogłam, myślała. Ben Farrell na pewno uważa mnie za najbardziej niekompetentną pielęgniarkę, z jaką kiedykolwiek miał do czynienia. Ale udowodnię mu, że się myli. Od tej chwili zacznę tak sprawnie działać, że będzie musiał zmienić zdanie.

Przez cały dzień czuła, że nie spuszcza z niej oka. Kiedy zaczęła wyjaśniać Tess, jak ma postępować w pewnych przypadkach, on natychmiast zjawiał się obok nich. Ilekroć opatry-

wala komuś ranę czy podłączała kroplówkę, on bacznie ją obserwował. O wpół do szóstej była u kresu wytrzymałości.

- Czy dobrze się czujesz? - spytał Steve z niepokojem, kiedy po raz drugi w ciągu dziesięciu minut minęła go bez słowa.

- Nie - mruknęła, studiując tablicę, na której wypisane były nazwiska pacjentów.

Przez chwilę uważnie jej się przyglądał, a potem jego twarz wykrzywił ironiczny uśmiech.

- Ben Farrell?

- Zgadłeś - mruknęła. - Szczerze mówiąc, Steve, ten człowiek...

- Siostró Clark!

Zamknęła oczy. Nigdy nie przeszło jej przez myśl, że usłyszawszy swoje nazwisko, może poczuć mdłości. Wydawało się, że wyrazy „proszę” i „dziękuję” nie istnieją w słowniku Bena Farrella. Z trudem się wyprostowała i ruszyła w jego kierunku.

- Mam tu dwuletnie dziecko, które nagle ogłuchło - oznajmił. - Zdaniem matki, chłopiec jest niespokojny, ale nie czuje bólu.

Istotnie, mały Fraser zdawał się nie przejmować swoją nagłą głuchotą, natomiast pani Reynolds była bliska łez.

- Wczoraj wieczorem czułem się doskonale - mówiła drżącym głosem. - Kiedy kładłam go spać, zachowywał się bardzo spokojnie, ale myślałam, że jest po prostu zmęczony po pikniku. A dzisiaj chyba nie słyszy, co do niego mówię.

- Czy zauważyła pani, żeby potrzasał głową?

- Owszem. Czy... to źle?

- Niekoniecznie - odparł Ben, wyjmując z kieszeni wizerunek uszny. - Siostró, czy może pani przytrzymać głowę chłopca?

Izzie pospiesznie wykonała jego polecenie

- Czy coś pan tam widzi? - spytała szeptem pani Reynolds.

- Owszem - odparł, marszcząc czoło. - Wygląda to jak... zielony koralik.

- Koralik? - powtórzyła zdumiona pani Reynolds.

- Nie uwierzyłyby pani, co dzieci potrafią wciągnąć przez nos, połknąć czy wetknąć sobie do uszu - wyjaśnił Ben. - Orzeszki, monety, szklane kulki, guziki... Raz nawet miałem do czynienia z malcem, który połknął baterię.

- Ale ja nie mam zielonych koralii.

- Gdzieś musiał to znaleźć. Siostrzyczko Clark, czy mogłaby pani przynieść mi...

- Kleszcze i strzykawkę - dokończyła Izzie. - Zaraz wracam, doktorze Farrell - oznajmiła i pospiesznie wyszła.

- Czy może go pani potrzymać, siostrzyczko? - polecił, gdy wróciła. - Musi być pani przygotowana na gwałtowne ruchy. Nie chciałbym, żeby zaczął się wrywać.

Izzie miała już na końcu języka ciętą ripostę, w ostatniej chwili jednak się powstrzymała. Nie była nowicjuską. Miała dwadzieścia sześć lat i sporą praktykę w zawodzie pielęgniarki. Zaciśnęła zęby, a potem uśmiechnęła się do Frasera.

- Doktor Farrell chce jeszcze raz zajrzeć do twojego ucha - powiedziała łagodnie. - Z początku może to trochę łaskotać - dodała, mocniej ściskając głowę chłopca - ale zaraz będzie po wszystkim. A potem...

- Skończone - przerwał jej Ben. - I wcale to nie jest koralik ~ dodał, unosząc kleszcze do światła. - To jest ziarenko grochu.

- Skąd on je wziął? - zawołała pani Reynolds. - I po co wsadził je sobie do ucha?

- Odpowiedź na pierwsze pytanie jest dość prosta - oznajmił Ben. - Zapewne spadło pani na podłogę, kiedy przygotowywała pani kolację. Co do drugiego pytania... Niestety, dzieci uwielbiają wtykać sobie do uszu czy nosa wszystko, co wpadnie

im w ręce. Jeśli mogę coś pani poradzić, to proszę w przyszłości gotować marchewkę, bo znacznie łatwiej ją zauważyć.

Ku zaskoczeniu Izzie, Ben się uśmiechnął, a jego twarz nabrała bardziej ludzkiego wyrazu.

- Czuję się jak skończona idiotka - rzekła pani Reynolds po wyjściu Bena. - Gdybym wiedziała, że mały ma coś w uchu, pewnie sama mogłabym to wyciągnąć.

- W żadnym wypadku nie wolno tego robić! - zawołała Izzie. - Jeśli nie ma się doświadczenia, można niechcący wyrządzić komuś krzywdę, wpychając ten przedmiot jeszcze głębiej. W takich przypadkach zawsze należy zwracać się do lekarza.

- Jestem pani bardzo wdzięczna - oznajmiła kobieta życzliwym tonem, kiedy Izzie odprowadzała ją do rejestracji. - Proszę też podziękować w moim imieniu panu doktorowi. To miły człowiek, prawda?

Miły? - pomyślała Izzie z przekąsem. Dużo można by o nim powiedzieć, ale na pewno nie to, że jest miły. Z westchnieniem odwróciła się, zamierzając wrócić do izby przyjęć, gdy nagle dostrzegła siedzącą w poczekalni rudowłosą dziewczynę o dużych, zielonych oczach, której widok obudził gdzieś w zakamarkach jej pamięci pewne wspomnienie.

- Joanna? - spytała niepewnie, podchodząc do niej. - Joanna Ogilvy?

Gdy dziewczyna odwróciła głowę, jej twarz rozjaśnił uśmiech.

- Izzie! Mój Boże, ostatni raz widziałam cię...

- Osiem lat temu, kiedy zdawałyśmy maturę.

- Właśnie. Zawsze chciałaś zostać pielęgniarką...

- A ty zawsze chciałaś wyjść za Briana Morrisona.

- I dopięłam swego, ale po czterech latach rozwiódłam się z nim. Co u ciebie? Czy masz męża albo narzeczonego?

- Nie wyszłam za mąż ani się nie zaręczyłam, ale usilnie nad tym pracuję - odparła Izzie wesoło.

- W ogóle się nie zmieniłaś - oświadczyła Joanna.

- Jeśli chodzi ci o to, że nie zmałałam, to masz zupełną rację. Ale co ty tu robisz? Słyszałam, że przeniosłaś się do Edynburga...

- Siostrze Clark.

Izzie zrobiło się słabo. Czy nie może nawet zamienić kilku słów ze swą dawną koleżanką, żeby Ben Farrell jej nie wytropił? Zegar ścienny wskazywał koniec jej zmiany, była więc teraz panią swego czasu i nikogo nie powinno było obchodzić, co robi ani z kim rozmawia.

- Czym mogę służyć, doktorze Farrell? - spytała chłodno.

- Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie ma pani jakiegoś kłopotu - oznajmił, obrzucając Joannę badawczym spojrzeniem. - Widziałem, jak wychodziła pani z panią Reynolds, a od tamtej chwili upłynęło sporo czasu.

Pewnie podejrzewa, że się objałam, pomyślała Izzie z rosnącą wściekłością.

- Przypadkiem spotkałam moją dawną przyjaciółkę - wyjaśniła chłodnym tonem. - Joanno, przedstawiam ci doktora Farrella, naszego szefa. A to Joanna Ogilvy.

- Chyba nie jest pani chora, pani Ogilvy? - spytał Ben.

- Przyjechałam tu z ojcem, który podczas majsterkowania przebił sobie gwoździem kciuk - rzekła Joanna, trzepocząc długimi, ciemnymi rękami i olśniewająco się do niego uśmiechając.

- Ach, to ten pacjent w dwójce - powiedział, kiwając głową. - Pielęgniarka zakłada mu właśnie opatrunek, więc pewnie nie potrwa to już długo.

- Och, mogę zaczekać - wyszeptała Joanna ze słodkim uśmiechem. - Prawdę mówiąc, mogłabym tu czekać przez całą noc.

Ben skwitował jej słowa lekkim skinieniem głowy i odszedł.

- Czy to jest właśnie ten mężczyzna, nad którym usilnie pracujesz, Izzie? - spytała Joanna z uznaniem.

- Chyba żartujesz! - zawołała Izzie.

- Skąd - odparła Joanna, przeczesując wypielęgnowanymi palcami swe krótko obcięte rude włosy. - Po prostu uwielbiam silnych, ciemnowłosych, zamyślonych mężczyzn, którzy wyglądają tak, jakby mieli za sobą tragiczną przeszłość. A ty nie?

- Nie. Posłuchaj, miło było cię znów spotkać, ale muszę już lecieć. Jak długo zostajesz w Kelso?

- Zamierzałam wrócić do Edynburga pod koniec tygodnia - odrzekła Joanna - ale sądzę, że zabawię tu nieco dłużej. Tujszy krajobraz nagle wydał mi się bardzo atrakcyjny.

Izzie potrząsnęła głową i odeszła. Dostrzegła Steve'a, który rozmawiał z Benem. Jego skwaszona mina mówiła sama za siebie.

- Co się stało? - spytała, kiedy Steve został sam.

- Robi mi się niedobrze, kiedy ktoś traktuje mnie jak studenta pierwszego roku medycyny! - zawołał z oburzeniem. - Doskonale wiem, że powinienem był zetrzeć z tablicy nazwisko pana Maxwella, kiedy tylko wyszedł, ale w czwórcie miałem pacjenta, który krwawił jak zarzynany wieprz, i opatrzenie go było chyba ważniejsze.

- Steve...

- Nie muszę tego znosić, Izzie. Wszędzie znajdę pracę! - zawołał z wściekłością i wybiegł z izby przyjęć.

Izzie zagryzła wargi i przez chwilę rozważała jego słowa, a potem poszła za nim do pokoju dla personelu.

- Posłuchaj, wiem, że jesteś wytrącony z równowagi - zaczęła - ale czy nie mógłbyś po prostu nie zwracać na niego uwagi?

- Jak można nie zwracać uwagi na kogoś, kto ci mówi, że

jesteś nie dość systematyczny, zbyt przyjazny i że brak rozwagi może któregoś dnia mieć katastrofalny wpływ na twoją pracę?!

- Tak ci powiedział?

Steve kiwnął głową, a Izzie ogarnęła fala gniewu.

- Jedno jest pewne - oświadczyła. - Jego praca nigdy nie ucierpi, bo bardzo wątpię, żeby w ogóle miał przyjaciół!

- Izzie...

- Nadęty arogant! On jest po prostu zwykłym tyranem.

- Izzie...

- I nie tylko tyranem - ciągnęła ze złością. - Jest również skończonym głupcem. Łazi za nami jak jakiś szpieg, węszy i wszystko krytykuje. Naprawdę, bardzo mi go żal. Musiało spotkać go w życiu coś wyjątkowo przykrego, skoro tylko w jeden sposób potrafi reagować...

- Izzie!

- Co? O co ci chodzi?

Widząc na twarzy Steve'a wyraźne zakłopotanie, natychmiast domyśliła się, co zaszło. Odwróciła głowę i napotkała zimne spojrzenie szarych oczu.

- Och, doktor Farrell - wymamrotała, czerwieniejąc z zażenowania. - Ja nie zamierzałam...

- Czy mógłbym zamienić z siostrą kilka słów?

Niechętnie podążyła za nim na korytarz. Wiedziała, że wpakowała się w niezłą kabałę. Niezależnie od prywatnego zdania, jakie miała na temat tego człowieka, była jego podwładną i mógł zatruć jej życie. Już otworzyła usta, chcąc powiedzieć coś na swe usprawiedliwienie, gdy ją ubiegł.

- Najwyraźniej jestem siostrze winien przeprosiny, czy tak?

- Pan? Przecież nie zrobił pan nic...

- Musiałem coś zrobić, skoro ma pani o mnie tak złe zdanie. Przez cały dzień obserwowałem panią. Jest pani świetną pielęgniarkę. Sądziłem, że będzie nam się dobrze pracowało.

Nie mogła wydobyć z siebie słowa.

- Wiem, że mam ostry język - ciągnął. - Wcale nie jestem z tego dumny i staram się go poskromić, ale... nie udaje mi się to. Proszę mi jednak wierzyć, że jeśli panią czymś dzisiaj uraziłem, to jest mi naprawdę bardzo przykro.

Spąsowiała. Wiedziała, że powinna coś powiedzieć, ale widząc na jego twarzy niepokój, nie potrafiła znaleźć słów.

- Słyszałem wiele różnych epitetów pod swoim adresem, ale po raz pierwszy nazwano mnie skończonym głupcem. Obiecuję, że dołożę wszelkich starań, żeby w przyszłości siostra zmieniła o mnie zdanie - powiedział i odszedł.

- Proszę zaczekać! - zawołała, odzyskując w końcu głos.

On jednak nie zatrzymał się i po chwili zniknął za drzwiami.

- Co ci powiedział? - spytał Steve, wychodząc z pokoju dla personelu. - Czy nie zostawił na tobie suchej nitki?

- Nie...

- Czy to znaczy, że zamknęłaś mu usta? Gdybym wiedział, że to takie łatwe, sam powiedziałbym mu coś do słuchu.

- Przykro mi, że usłyszał to, co p nim mówiłam.

- Bzdura! - zawołał. - Najwyższy czas, żeby ktoś utarł nosa temu zarozumialcowi. Jestem z ciebie dumny, kochanie.

Ale ona wcale nie była z siebie dumna, Steve może uważać, że Ben Farrell dostał to, na co zasłużył, ona jednak była innego zdania. Mógł zmieszać ją z błotem - i wcale nie miałyby mu tego za złe - lecz on nie był nawet rozgniewany.

Człowiek, którego uważała za pozbawiony uczuć automat, wydawał się zraniony jej zarzutami. Przyłapała się na tym, że z całego serca żałuje pochopnie wypowiedzianych słów.



## ROZDZIAŁ DRUGI

Zmarszczyła czoło, szukając wolnego miejsca w szpitalnej stołówce. Miała wrażenie, że cały personel postanowił zrobić sobie przerwę na lunch o tej samej porze.

- Izzie, chodź tutaj!

Rozchmurzyła się, widząc machającego do niej Steve'a. Pospiesznie ruszyła w jego stronę, a potem nagle przystanęła. Tuż obok siedział Ben Farrell, i wydawał się... samotny. Leżący obok niego na krześle stos książek nie sugerował wcale, że pragnie towarzystwa, a jednak...

Patrząc na niego, musiała przyznać, że choć minął już tydzień od ich pamiętnej rozmowy, nadal czuje się winna. Wahała się przez chwilę, a potem ruszyła w jego stronę, zdając sobie sprawę z tego, że Steve ze zdumieniem śledzi jej ruchy. Jeszcze bardziej zdumiony wydał się Ben Farrell.

- Czy mogę coś dla siostry zrobić? - spytał, marszcząc brwi. Na początek wystarczyłby uśmiech, pomyślała.

- Czy mogę się przysiąc?

Przez chwilę spoglądał na nią z zadumą, a potem zdjął książki z krzesła i położył je na podłodze.

Na razie wszystko idzie dobrze, pomyślała, stawiając na stole talerz z zupą i siadając.

- Zapewne po Newcastle praca w Kelso jest dla pana dużą odmianą - powiedziała.

- To prawda, ten szpital jest znacznie mniejszy - odrzekł, odsuwając na bok swój prawie nietknięty posiłek.

- Ale nie żałuje pan decyzji, prawda?  
- Uważam, że w gruncie rzeczy szpitale są do siebie podobne.

- Ale nasz różni się od innych. Jest częścią tutejszej społeczności. Kiedy w sierpniu odbywa się nasz festyn, wszyscy mieszkańcy przychodzą, żeby nas wspomóc.

- Naprawdę? - spytał obojętnie.

Doszła do wniosku, że próba wciągnięcia tego człowieka w rozmowę przypomina wrywanie zębów, lecz ona łatwo się nie poddawała.

- Musiał pan jednak dostrzec w naszym szpitalu jakieś zalety - dociekała - bo w przeciwnym razie chyba by go pan nie wybrał?

- Lubię łowić ryby, a rzeka Tweed należy do najlepszych łowisk łososia w kraju.

- To prawda, ale mówiąc poważnie, co skłoniło pana do przyjazdu właśnie tutaj?

- Już to pani powiedziałem: lubię łowić ryby.

To Zupełnie beznadziejna sprawa, pomyślała, patrząc na niego, a on nagle usiadł wygodniej i uśmiechnął się posepnie.

- Powinienem był siostrę uprzedzić, że poza moimi licznymi wadami mam jeszcze jedną: nie jestem rozmowny.

- Już to zauważyłam - odparła bez zastanowienia.

- Czy pani zawsze mówi to, co myśli?

- Jeśli pyta pan o to, czy zwykle jestem tak bardzo nietaktowna, moja odpowiedź brzmi „nie”.

- Zatem tylko ja wyzwałam w pani szczerość?

- Tak, to znaczy nie! Chodzi mi o to... Och, do diabła! - wyjąkała i wybuchnęła śmiechem. - Czy mogę mieć trochę więcej czasu, żeby się nad tym zastanowić, zanim odpowiem?

Ben również się roześmiał.

- Zdaje się, że nieustannie mówię panu przykre rzeczy, prawda? To mi przypomina, że do tej pory nie przeprosiłam...

- Nieważne - przerwał jej, machając ręką. - To należy już do przeszłości i lepiej o tym zapomnieć.

- Czy ryzykując, że znów pana obrażę, mogłabym dać panu pewną drobną radę?

- To brzmi złowieszczo. No dobrze, niech pani mówi.

- Znacznie więcej osiągnąłby pan, gdyby nie był pan taki szorstki w stosunku do swoich podwładnych. Tess jest naprawdę pełna zapału, choć odbywa dopiero praktykę, Fran wie wszystko o naszej pracy, a Steve.

- Co z nim?

Choć ton jego głosu wyraźnie nakazywał jej przerwać ten wywód, mówiła dalej:

- Czy musi pan być dla niego taki surowy? Wiem, że czasem robi wrażenie trochę... niedbałego, ale jest dobrym lekarzem i na nic się nie zda, jeśli będzie go pan nieustannie krytykował.

- Nie wiedziałem, że to robię, ani że doktor Melville jest tak wrażliwym człowiekiem.

Już miała coś odpowiedzieć, gdy nagle się rozmyśliła. Nie powinna była w ogóle zaczynać tej rozmowy. Nie tylko zrobiła ze Steve'a płacznego skarżypytę, lecz również odniosła wrażenie, że nagle zmałał w jej oczach.

- Doktorze Farrell...

- Domyślam się, że panią i doktora Melville'a coś łączy?

- Owszem - przyznała, czując z irytacją, że znów pąsowieje.

- I niebawem zamierzacie się pobrać?

- Nie wiem. To znaczy, myślę, że w końcu do tego dojdzie. Nie jesteśmy zaręczeni, ale łączy nas partnerski związek.

- Rozumiem.

Podejrzewała, że wcale tego nie rozumie.

- Problem polega na tym, że oboje wzięliśmy na siebie zbyt wiele obowiązków, żeby teraz wyznaczać datę ślubu. Steve chce zrobić specjalizację, co wymaga poświęcenia czasu nauce, a ja... mam również dużo zajęć. Poza tym taki układ nam odpowiada.

- Miło mi to słyszeć.

Spojrzała na niego, zastanawiając się, dlaczego odczuła potrzebę wystąpienia w obronie własnej i Steve'a. Przecież wcale nie musiała tego robić. Byli szczęśliwi, mieszkając razem, a to, że do tej pory nie wyznaczyli jeszcze daty ślubu, nie jest sprawą Bena. Słyszając dźwięk jego pagera, odetchnęła z ulgą. Kiedy wstał, ona również zerwała się z krzesła.

- Nie musi pani. ze mną iść - powiedział. - Może pani zostać i dokończyć lunch.

- Już skończyłam - oznajmiła, pospiesznie przełykając resztki jedzenia i uśmiechając się do niego.

- Taki pośpiech grozi wrzodami żołądka.

- Wykluczone. Mam strusi żołądek.

Ku jej zaskoczeniu, Ben wybuchnął śmiechem.

Doszła do wniosku, że Steve się mylił. Ben Farrell bywa czasem szorstki i z całą pewnością nie chciałaby mieć w nim wroga, ale kiedy się uśmiecha, wygląda całkiem sympatycznie. A już na pewno nie jest służbistą, jak sugeruje Steve.

- O co chodzi? - spytał Ben, kiedy weszli do izby przyjęć, w której czekała na nich Fran.

- Pan Kent skarży się na ból w prawym oku. Poczuję go, kiedy robił półkę w prezencie urodzinowym dla żony.

Ben kiwnął głową, a potem podszedł do pacjenta.

- Podobno miał pan drobny wypadek, panie Kent - powiedział.

- To pewnie nic takiego, panie doktorze.

- Pozwoli pan, że ja to osądzę - przerwał mu Ben, wyjmując

z kieszeni oftalmoskop. - Niech pan spojrzy ponad moje ramię. W porządku, a teraz na ścianę - polecił, kierując snop światła w oko pacjenta. - Czy podczas robienia tej półki miał pan okulary ochronne?

- Nie uważałem tego za konieczne. Na co dzień noszę okulary optyczne, więc sądziłem, że będą one wystarczającą ochroną.

- Siostrze, czy może mi pani podać trochę fluoresceiny?

- Czy... myśli pan, że stracę w tym oku wzrok? - spytał pacjent drżącym głosem.

- Ja nie stawiam pochopnych diagnoz - odrzekł Ben.

- Ale to tak okropnie boli. I przez cały czas łzawię.

- To dobry znak - pocieszył go Ben, delikatnie zakrapiając odrobinę pomarańczowego barwnika do oka. - Gdyby nie było żadnych objawów, mogłoby to oznaczać, że ma pan uszkodzoną rogówkę. Niech pan raz jeszcze spojrzy ponad moim ramieniem.

Mężczyzna wykonał jego polecenie.

- Tam jest drzazga - mruknął Ben. - Na szczęście leży na powierzchni rogówki. Siostrze, będą mi potrzebne...

- Znieczulające krople i szpatułka do oka - dokończyła. - Wszystko już przyniosłam.

Mówiono mu, że Izzie Clark jest dobrą pielęgniarką, lecz okazuje się, że jest po prostu znakomita.

Wprawnie zapanował krople, a potem zerknął na Izzie. Zastanawiał się, co ona widzi w takim człowieku jak Steve Melville. Obiektywnie jest przystojny, lecz jemu wydawał się zbyt gładki i wygadany. Doszedł jednak do wniosku, że w końcu wszystko jest kwestią gustu. Tu lekko się skrzywił. Przecież kto jak kto, ale on powinien wiedzieć lepiej niż większość ludzi, że w miłości nie liczy się zdrowy rozsądek.

- Nie ma potrzeby tak się denerwować, panie Kent - powiedział z uśmiechem. - Musi pan tylko leżeć nieruchomo.

- Czy nie mógłby pan czymś mnie ogłuszyć? - wymamrotał Martin. - Nie jestem już dzieckiem, ale na samą myśl o tym, że będzie pan grzebał w moim oku tym przedmiotem...

- Czy ulży panu, jeśli będę trzymać pana za rękę? - spytała Izzie.

Martin kiwnął głową, a kiedy ścisnął mocno jej dłoń, Ben poczuł nagłe ukłucie zazdrości. Ostrożnie, Ben, upomniał się w myślach. Już raz zwariowałaś na punkcie kobiety i to powinno być czegoś cię nauczyć.

- W porządku, panie Kent - powiedział. - Niech pan teraz patrzy na to lustro, które wisi ponad moim ramieniem, i zupełnie się nie rusza. Dobrze. Wspaniale. Niech pan nie odrywa wzroku od lustra. Jeszcze tylko kilka sekund... Mam ją!

- Udało się? - spytał pacjent, zerkając na Izzie.

- Oczywiście - potwierdziła, ostrożnie wciągając mu przez głowę opaskę na oko.

- Ale to nadal boli.

- Niestety, przez jakiś czas poboli - wyjaśnił Ben. - Nasza rejestratorka wyznaczy panu wizytę w tutejszej poradni okulistycznej. Do tego czasu ma pan nosić tę opaskę, a żona niech cztery razy dziennie wkrapla panu do oka ten antybiotyk.

- Mam nosić opaskę? - powtórzył Martin z przerażeniem.

- Ale panie doktorze, ja jestem kreślarzem. Jak mam pracować, używając tylko jednego oka?

- Powinien pan być wdzięczny losowi za to, że tak się skończyło - oznajmił Ben. - Brakowało milimetra, żeby stracił pan w tym oku wzrok.

- Tylko milimetra? - wyszeptał Martin, blednąc.

Ben kiwnął głową.

- Niech pan posłucha mojej rady i od tej pory wkłada okulary ochronne, kiedy będzie się pan zabierał do majsterkowania.

Izzie odprowadziła pacjenta do rejestracji, a kiedy wróciła do izby przyjęć, podszedł do niej Steve.

- Skąd ta nagła przyjaźń z Farrellem? - spytał z szerokim uśmiechem. - Czyżby był to Tydzień Dobroci dla Starców?

- To wcale nie jest zabawne, Steve.

- Ten facet ma czterdzieści lat i mógłby być twoim ojcem.

- Pod warunkiem, że byłby wyjątkowo przedwcześnie dojrzałym czternastolatkiem - odparła z irytacją. - Posłuchaj, dlaczego ciągle się go czepiasz? Przy bliższym poznaniu okazuje się zupełnie miłym człowiekiem.

- Nie wiedziałem, że pociągają cię starsi panowie. Zaczynasz się nim interesować, co?

- Ależ skąd! - odrzekła z rozdrażnieniem i z niepokojem zauważyła, że stojący w drugim końcu sali Ben uważnie im się przygląda. - Chcę tylko powiedzieć, że byłoby lepiej, gdybyś dał mu szansę, zamiast ciągle go krytykować.

- Nie wiedziałem, że to robię, ale jeśli moja obecność sprawia ci przykrość, to już się wynoszę.

- Tego nie powiedziałam! - zawołała. - Ale czy nie uważasz, że życie byłoby znacznie przyjemniejsze, gdybyśmy wszyscy starali się znaleźć wspólny język?

- Jak zwykle przemawia przez ciebie pacyfistka, co?

Spojrzała na niego niepewnie. Nie chciała z nim walczyć, bo go kochała, ale on nie był w tej sprawie uczciwy, a poczucie sprawiedliwości nie pozwalało jej tego przemilczeć.

- Być może masz rację, ale to jest chyba lepsze niż ciągle skakanie sobie do oczu.

- Sądziłem, że jesteś po mojej stronie.

- To nie jest kwestia opowiadania się po czyjejś stronie. Chodzi o to... - Potrząsnęła głową. - Och, Steve, potrafisz być taki wyrozumiały i rozsądny. Czy nie możesz spróbować dojść z nim do porozumienia?

- W porządku. Przez jakiś czas będziemy to rozgrywać na twój sposób, dziecinko, ale kiedy Ben Farrell odgryzie ci głowę, nie mów, że cię nie ostrzegałem.

To wszystko wina tych przeklętych egzaminów, pomyślała z westchnieniem, kiedy Steve odszedł. Tak bardzo chce je zdać, że wcale nie zdziwiłoby jej, gdyby jadł byle co i nie dosypiał. Wiedziała, że kiedy będzie miał je już za sobą, znów stanie się tym Steve'em, którego znała i kochała...

- Dziecinko...?

Gdy zauważyła, że Ben spogląda na nią, unosząc ze zdziwieniem brwi, lekko się zaczerwieniła. Zastanawiała się, jak wiele usłyszał z ich rozmowy.

- Steve niekiedy tak się do mnie zwraca - wyjaśniła z zażenowaniem. - To tylko takie serdeczne określenie.

- Trochę dziwne, w stosunku do dorosłej kobiety... Nigdy nie nazwałbym pani dziecinką, nawet gdybym był w pani zakochany.

Stanowczo oparła się pokusie, by nie spytać go, jakiego określenia użyłby, gdyby istotnie był w niej zakochany.

- Jakież kłopoty, Tess? - spytał, kiedy podeszła do nich praktykantka, wyraźnie czymś wzburzona.

- W jedyńce jest sześciolatek z podejrzeniem złamania nadgarstka, a ja nie mogę znaleźć doktora Melville'a.

Ben lekko zmarszczył czoło, a potem kiwnął głową.

- Siostrze Clark, czy może mi pani pomóc?

Izzie podążyła za nim, zdając sobie sprawę z tego, że Tess jest przykro. Złamany nadgarstek nie należy do bardzo trudnych przypadków i Tess z łatwością mogłaby Benowi asystować.

- Stale mu powtarzam, żeby nie wdrapywał się na drzewa - tłumaczyła pani Simpson, gdy Ben badał rękę jej syna - ale on w ogóle mnie nie słucha. Szczerze mówiąc, ten chłopak...

- Czy boli cię głowa, Joey? - przerwał jej Ben, pochylając



się nad bladym dzieckiem, które zawzięcie milczało. - Czy kiedy bierzesz głęboki wdech, boli cię w boku albo w brzuchu?

- Wiem, o czym pan myśli, doktorze - rzekła pośpiesznie pani Simpson - ale on nie stracił przytomności. A poza tym, jak sam pan widzi, oddycha zupełnie normalnie.

- Dla pewności zbadamy go - oświadczył Ben. - Siostrze Clark, czy może pani go rozebrać?

- Czy to jest naprawdę konieczne? - zaproponowała matka. - Tak bardzo boli go nadgarstek, a poza tym okropnie długo czekaliśmy na tę wizytę...

- Ubranie, siostrze Clark - powtórzył Ben stanowczo.

Izzie spojrzała na niego z zaciekawieniem. To naprawdę nie wydawało się konieczne - nawet ona wiedziała, że nadgarstek był złamany. Ben jednak popatrzył na nią niewzruszonym wzrokiem, więc pośpiesznie wykonała jego polecenie.

- Weź głęboki wdech, Joey, dobrze? - poprosił Ben, przykładając stetoskop do chudej klatki piersiowej chłopca.

- Mówiłam panu, że to tylko nadgarstek - upierała się matka.

- Czy często się przewracasz, Joey? - spytał Ben, dotykając siniaków na jego ramieniu i nodze.

- Nie uwierzy pan, jak często - przyznała pani Simpson ze śmiechem. - Joey ma do tego wyjątkowe skłonności. Ciągłe powtarzam mężowi, że jeśli tak będzie dalej, to przyjdzie do nas opiekun społeczny, bo będą nas podejrzewać o znęcanie się nad dzieckiem.

- Co na to pani mąż? - spytał Ben.

- Twierdzi, że trzeba być dla niego wyrozumiałym - odparła. - Dzieciom czasem przytrafiają się gorsze rzeczy.

- To prawda - mruknął Ben. - Siostrze, czy może pani pomóc mu się ubrać? Jestem niemal pewny, że Joey ma złamany nadgarstek - dodał. - Siostra Clark zaprowadzi was na prze-

świetenie. Jeśli moja diagnoza się potwierdzi, to, niestety, przez kilka tygodni będzie musiał nosić gips.

- To położy kres twojemu łożeniu po drzewach, mój chłopcze - rzuciła pani Simpson, czule gładząc jasne włosy syna.

Gdy Izzie odprowadziła ich na prześwietlenie i zaczęła ścierać nazwisko chłopca z tablicy, dostrzegła Bena, który stał nieopodal, marszcząc czoło z zadumą.

- Czy coś się stało? - spytała, podchodząc do niego.

- Zgodnie z notatkami w karcie chłopca, jest to już jego trzecia wizyta tutaj w ciągu tego roku. W styczniu miał pęknięte żebro, a w kwietniu złamaną kostkę.

- Czy podejrzewa pan, że cierpi na wrodzoną łamliwość kości? Możemy skierować go na specjalne badania.

- Widziała pani te sińce na jego ciele?

Przez chwilę spoglądała na niego zaskoczona, a potem nagle zrozumiała, co ma na myśli.

- Podejrzewa pan, że rodzice źle go traktują? - wykrztusiła, z trudem łapiąc oddech. - Och, doktorze Farrell, to absurdalne. Każdemu dziecku przytrafiają się pechowe wypadki. Kiedy byłam małą, ciągle spadałam z jakichś drzew czy płotów.

- Więc była pani urwisem, tak? - zażartował.

- Laura Simpson uczy w tutejszej szkole podstawowej, a jej mąż, Scott, jest adwokatem. To nie są ludzie tego rodzaju...

- Więc ludzie dzielą się na rodzaje? - przerwał jej chłodno.

- Oczywiście, że nie. Ale przecież sam pan widział, jak bardzo Laura była zaniepokojona. Nawet na minutę go nie opuściła.

- Owszem, zauważyłem to.

- Och, teraz znów sugeruje pan, że próbowała coś ukryć - zawołała z rozdrażnieniem. - Jak każda matka, niepokoi się o swoje dziecko... a w ich przypadku o jedyne dziecko.

- Izzie, to był zarówno niepokój, jak i próba upewnienia się, że nikt nic nie powie.

Po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu, lecz ona była zbyt rozgniewana, by okazać zdziwienie.

- Panie doktorze, mieszkam w tym miasteczku od urodzenia i zapewniam pana, że gdyby wydarzyło się tu coś podobnego, wiedziałabym o tym!

- No dobrze, tym razem chylę czoło przed pani znajomością lokalnych stosunków, ale jeśli to dziecko znów do nas przyjdzie, choćby tylko ze skaleczonym palcem, chcę o tym wiedzieć.

- Przrzekam, że sama tego dopilnuję - odparła z przekąsem. - Mogę wydawać się panu prowincjuszka, ale nie jestem głupia!

- Nigdy tego nie twierdziłem - rzekł z lekkim uśmiechem. - Ale być może jest pani nieco zbyt łatwowierna.

Miała już na końcu języka ciętą ripostę, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, Ben odszedł. Była pewna, że mylił się w sprawie Joeya. Scott i Laura nigdy nie skrzywdziliby synka - wszyscy doskonale wiedzieli, że go uwielbiają. A co do jej łatwowości...

- Czy nadal uważasz, że doktor Farrell jest cudowny?

Gwałtownie się odwróciła i zobaczyła Steve'a. Zamierzała coś mu odpowiedzieć, lecz w tym momencie podbiegła do nich Fran.

- Karetka wiezie mężczyznę, którego potrąciła ciężarówka. Urazy klatki, głowy i brzucha. Będzie tu za pięć minut.

- Czy teraz mamy jeszcze w poczekalni jakieś nagłe przypadki? - spytał Ben, nagle zjawiając się obok nich.

- Nie, wszyscy mogą zaczekać.

- Trzeba uprzedzić salę operacyjną i dyżurnego chirurga, żeby byli w pogotowiu. Tess, zawiadom laboratorium, żeby przygotowali sześć jednostek krwi grupy zero minus oraz masę czerwonekrwinkową. I przygotuj się na pobranie krwi do próby krzyżowej. Zero minus można podać każdemu pacjentowi, jeśli

zagrożone jest jego życie. Dzięki temu zyskujemy trochę czasu, zanim dostaniemy wynik próby krzyżowej.

- Co ja mam robić? - spytała Izzie, gdy Tess odeszła.
- Sprawdzić stan sali i upewnić się...

Nie dokończył, ponieważ nagle na oddział wpadli sanitariusze, pchając przed sobą nosze na kółkach.

- Tracimy go! - zawołał jeden z nich, pędząc w stronę sali reanimacyjnej. - Brak oddechu, ciśnienie krwi sześćdziesiąt na czterdzieści, poziom świadomości siedem w skali Glasgow.

- Ciężka sprawa - mruknął Ben, podążając za nimi. - Fran, pobierz krew i zanieś próbkę do laboratorium. Powiedz im, że natychmiast chcę mieć wyniki. Izzie, podłącz monitor serca i rozbierz pacjenta. Steve... Gdzie, do diabła, jest Steve?

- Tutaj - odparł Steve z irytacją.
- Podłącz aparat tlenowy panu... Czy ktoś wie, jak on się nazywa? - spytał Ben, podłączając nową kroplówkę.
- Tom Johnson - odparł sanitariusz, wychodząc z sali.
- Steve, zajmij się aparatem tlenowym i nie spuszczaaj z oka kroplówki. Jakie jest teraz ciśnienie, Izzie?

- Osiemdziesiąt na czterdzieści.
- Tętno?
- Pięćdziesiąt i spada.
- Tom, czy pan mnie słyszy? - spytał Ben, pochylając się nad pacjentem.

Mężczyzna cicho jęknął.

- Chyba ma złamaną nogę i miednicę - powiedział Steve.
- To jest w tej chwili najmniejsze zmartwienie - mruknął Ben przez zęby. - Czy dyżurny chirurg już się zjawił?
- Jeszcze nie - odparła Fran, wbiegając do pokoju. - Dałam mu znać przez pager, ale...
- Zatrzymanie akcji serca! - zawołała Izzie.

Ben szybko podał dożylnie lignokainę, a potem wziął elektrody defibrylatora.

- Cofnijcie się, wszyscy - polecił.

Kiedy przyłożył elektrody do klatki piersiowej pacjenta, wszyscy obecni utkwili wzrok w monitorze serca.

- Bez zmian - oznajmiła Izzie, kiedy bezwładne ciało pacjenta podskoczyło gwałtownie pod wpływem elektrowstrząsów.

- No, Tom, daj znak życia - mruknął Ben, ponownie przykładając elektrody.

- Nadal bez zmian - oznajmiła Izzie, obserwując monitor.

- Może za trzecim razem się uda - dodał Ben posępnie.

- Odzyskaliśmy go! - zawołała Izzie z ulgą, kiedy linia na monitorze zaczęła drgać. - Uderzenia serca słabe i niemiarewe, ale zauważalne.

- W porządku. Ciśnienie krwi, Izzie?

- Siedemdziesiąt na czterdzieści.

- Podłącz kroplówkę z dopaminą. Steve, doprowadź do porządku jego twarz i głowę. Krzycz głośno, jeśli znajdziesz coś niepokojącego. Gdzie jest ta cholerna krew?

- Już jest! - odparła Tess, widząc w drzwiach laboranta.

- Dobrze, zacznij mu ją pompować. Izzie, obserwuj, czy żyje, a ja spróbuję zatamować krwotok w jego klatce piersiowej. Jedno z żeber przebiło płuco.

Jest dobrym lekarzem, pomyślała Izzie, uważnie mu się przyglądając. Czując na sobie jej wzrok, Ben uniósł głowę i uśmiechnął się lekko.

- Czyż nie jest to piekielny sposób zarabiania na życie? - zażartował.

Izzie cicho się zaśmiała. Więc jednak ma poczucie humoru. Ale żeby żartować w takiej sytuacji, trzeba mieć nerwy ze stali.

- W porządku - oznajmił w końcu. - To wszystko, co mo-

gliśmy dla niego zrobić. Teraz jak najprędzej powinien znaleźć się na sali operacyjnej. Czy zjawił się już dyżurny chirurg, czy nadal przebywa na polu golfowym?

Izzie rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie. Doktor Evanton, znany na terenie całego szpitala z braku poczucia humoru, stanął właśnie w drzwiach, lecz Ben wcale się tym nie przejął.

- Cieszy mnie, że znalazł pan czas, żeby się do nas przyłączyć! - powiedział, odwracając się do niego. - W końcu jednak dotarła do pana nasza wiadomość, tak?

- Przejmuję pacjenta, panie Farrell - rzekł oschle.

- Proszę się nie krępować - odrzekł Ben, ściągając rękawice chirurgiczne. - W porządku, moi drodzy - dodał, widząc, że Frań i Steve spoglądają na niego niepewnie. - Przedstawienie skończone, a na nas czekają pacjenci.

Kiedy Izzie została sam na sam z Benem, potrząsnęła głową z dezaprobatą.

- Krytykowanie doktora Evantona nie jest najlepszym sposobem zjednywania sobie przyjaciół w naszym szpitalu - oświadczyła.

- Musiałem to powiedzieć, Izzie. Jechał tu aż piętnaście minut!

- Zgadzam się, że trwało to zbyt długo, ale proszę, żeby zrażanie sobie konsultantów nie weszło panu w krew. Oni tworzą bardzo żyty zespół i mogą panu uprzykrzyć życie.

- Dam sobie radę - powiedział, wzruszając ramionami.

Kiedy wychodził, Izzie ponownie potrząsnęła głową. Był bardzo dziwnym i pełnym sprzeczności człowiekiem, ale go lubiła, choć sama nie wiedziała dlaczego. Zerknęła na zegar. Kiedy stwierdziła, że ich dyżur skończył się już przed godziną, pobięła do pokoju dla personelu.

- O Boże, ależ jestem zmęczony! - westchnął Steve na jej widok. - Może pójdziemy wszyscy gdzieś na drinka?

- Ja, niestety, nie mogę z wami pójść - oznajmiła Frań. - Mój mąż czeka na mnie z kolacją i wścieknie się, jeśli znów się spóźnię.

- A ty, Tess? - spytał Steve.

- Przykro mi, ale mam randkę - rzekła przepraszająco.

Izzie spojrzała na Steve'a znacząco, kiedy do pokoju wszedł Ben. Steve westchnął z niechęcią, ale posłusznie odwrócił się w jego stronę.

- Czy zechciałby pan pójść z nami na drinka?

Przez ułamek sekundy Izzie miała wrażenie, że Ben zamierza się zgodzić, ale potem potrząsnął głową.

- Dwoje to towarzystwo, a troje to już tłum. Poza tym nie jestem amatorem pubów. Ale dziękuję wam za zaproszenie - powiedział, a potem wziął ze stołu teczkę z dokumentami i wyszedł.

- Izzie, ten facet jest naprawdę niesamowity - stwierdził Steve.

- Wielu ludzi nie lubi pubów - odparła, sięgając po torebkę.

- Wszyscy mężczyźni lubią - oznajmił stanowczo. - Naprawdę, z tym człowiekiem jest coś nie tak. Co on w ogóle tu robi?

- To samo co my. Pracuje.

- Ale on był konsultantem szpitala w Newcastle.

- A ty przyjechałeś do Kelso z Edynburga.

- Owszem, ale dla mnie to był awans, a dla niego jest to praktycznie degradacja.

Izzie potrząsnęła głową i zdjęła z wieszaka kurtkę.

- Może lubi prowincję i po prostu pragnął jakiejś zmiany.

- Z pewnością - orzekł z przekąsem, a Izzie uniosła oczy do nieba.

- Posłuchaj, zaczynam się poważnie o ciebie martwić. Za

chwilę powiesz mi, że Ben Farrell jest seryjnym mordercą i zostawił w Newcastle setki martwych kochanek.

- No dobrze - mruknął, podążając za nią w stronę wyjścia.

- Możesz sobie drwić, ile dusza zapagnie, ale ten facet nie przyjechał tu bez powodu i założę się o mój stetoskop, że nie kierowała nim chęć zmiany powietrza!



## ROZDZIAŁ TRZECI

- Wydawałoby się, że ludzie zdali sobie w końcu sprawę, jak niebezpieczny może być nadmiar słońca - rzekł Ben z irytacją, ściągając rękawice chirurgiczne. - To już czwarty przypadek poparzenia w ciągu dwóch dni.

- Wiem - odparła Izzie - ale nie może pan winić ludzi za to, że chcą korzystać z uroków upalnych dni.

- Mogę, skoro za kilka lat skończy się to dla nich rakiem skóry - mruknął, a potem zmarszczył czoło, słysząc dobiegające zza drzwi podniesione głosy. - Co, do diabła, tam się dzieje?

Izzie przechyliła głowę i zaczęła nasłuchiwać. Steve rozmawiał wzburzonym tonem z jakąś kobietą, której głos wydał jej się dziwnie znajomy.

- To pewnie jakaś pijana pacjentka - powiedziała.

- Tak wczesnym popołudniem?

- Niektórzy piliby przez cały dzień, gdyby tylko mogli. - Westchnęła i gestem ręki przywołała Fran. - O co chodzi?

- Ta kobieta przysięga, że doznała urazu stopy, ale Steve nie znalazł niczego niepokojącego, więc teraz ona domaga się widzenia z jego przełożonym.

- Czy to jedna z naszych „kłopotliwych” pacjentek?

- Chyba nie - odparła Fran - ale twierdzi, że zna ciebie.

Izzie uniosła brwi i pospiesznie weszła do pokoju, w którym siedziała Joanna Ogilvy.

- Izzie! - zawołała Joanna, odpychając Steve'a i mocno ją obejmując. - Dzięki Bogu, że widzę jakąś przyjazną twarz. Pró-

bowalam wytłumaczyć temu pielęgniarzowi, że wprost umieram z bólu, ale ten głupiec w ogóle tego nie rozumie!

- Pan Melville jest lekarzem, Joanno - wyjaśniła Izzie.

- Och, bardzo przepraszam - szepnęła ze skruczą, obdarzając Steve'a czarującym uśmiechem. - Nie chciałabym pana urazić, ale mimo wszystko uważam, że powinien zbadać mnie ktoś bardziej doświadczony. Nie mogę nawet stanąć na tej stopie.

- Można wezwać ortopedę - zaproponowała Izzie - ale pan Farrell musiałby najpierw stwierdzić, że to konieczne.

Joanna wyraźnie się ożywiła.

- Och, tak, poproś pana Farrella.

Izzie pospieszenie wyszła, a Steve podążył jej śladem.

- Izzie, przecież nic jej nie dolega - powiedział półgłosem.

- Wiem - odparła, wybuchając śmiechem.

- Więc po co wzywać do niej Farrella?

- Kobieca intuicja - wyszeptła, patrząc na niego przewrotnie. - Tylko nie żądaj ode mnie żadnych wyjaśnień - dodała, widząc, że Steve zamierza ją o coś spytać. - Powiedzmy, że mam pewne przeczucie... Jest w sam raz dla naszego szefa.

- Co jest w sam raz dla mnie? - spytał Ben, stając za nią.

- Pacjentka w jedyńce - odparła, odwracając się do niego z miną niewiniątka. - Podobno boli ją stopa i doktor Melville chciałby, żeby ktoś inny wyraził swoją opinię na ten temat.

- Wobec tego okazuje to w dziwny sposób - stwierdził Ben, patrząc za pospieszenie oddalającym się Steve'em. - O co chodzi?

- Och, o nic - odparła Izzie, nie mogąc powstrzymać się od uśmiechu. - Po prostu doktor Melville i ja uważamy, że ten szczególny przypadek wymaga pańskiej interwencji.

- Czyżby chodziło o ministra zdrowia? - zażartował.

- O kogoś znacznie ważniejszego, proszę mi wierzyć. To...

Nie zdołała dokończyć zdania, ponieważ drzwi izby przyjęć gwałtownie się otworzyły i na progu stanęła Joanna.

- Doktor Farrell! - zawołała z promiennym uśmiechem. - Dziękuję, że pan przyszedł.

- Co pani dolega, panno...?
- Jestem Joanna. My się już znamy.
- Naprawdę? - spytał z roztargnieniem.

Widząc w zielonych oczach Joanny błysk rozdrażnienia, Izzie z trudem powstrzymała się od śmiechu. Jej szkolna przyjaciółka najwyraźniej nie przywykła do tego, by ktoś jej nie poznawał.

- Musi pan pamiętać - wyjąkała Joanna. - W zeszłym tygodniu przywiozłam tu mojego ojca, który zranił się w kciuk.

- Niestety, mam wielu pacjentów, panno...
- Ogilvy. Chodziłam razem z Izzie do szkoły.
- Naprawdę? - mruknął bez najmniejszego zainteresowania, badając jej stopę. - Czy to boli?

- Trochę - odparła, kiwając głową. - Ale tak naprawdę boli mnie gdzieś tutaj - dodała, unosząc brzeg swej długiej, kwiecistej spódnicy i odsłaniając opaloną, szczupłą łydkę.

Ona wcale nie kryje się ze swoimi zamiarami, pomyślała Izzie z irytacją. Ale zawsze taka była. W szkole przezywano ją „pożeraczką męskich serc”.

- W jakich butach zwykle pani chodzi, panno Ogilvy?
- Na wysokich obcasach. Czy nie uważa pan, że nogi w nich ładniej wyglądają? - spytała, obdarzając go elektryzującym uśmiechem.

- Nie zastanawiałem się nad tym - oświadczył. - Wydaje mi się, że naciągnęła pani sobie mięsień brzuchaty łydki. Jeśli przez dwa tygodnie będzie pani chodzić na płaskim obcasie, to wszystko powinno wrócić do normy.

- Ale takie pantofle są okropnie brzydkie! - Skrzywiła się z niesmakiem. - Poza tym kupiłam bilety na bal dobroczynny, który ma się odbyć w przyszły weekend, i nie mogę na taką okazję włożyć butów na płaskim obcasie.

- To jest tylko moja rada - oznajmił Ben, odwracając się w stronę drzwi. - Wybór należy do pani.

- Mam dwa bilety na ten bal! - zawołała, chwytając go za rękę.

- I chciałyby pani zaprosić siostrę Clark? - spytał z wyraźnym rozbawieniem - To bardzo miło z pani strony.

- Doktorze Farrell... - wykrztusiła przez zaciśnięte zęby.

- Przepraszam, że przeszkadzam - wtrąciła Fran, zaglądając do pokoju - ale wiozą do nas rannych z wypadku drogowego.

- Czy znamy szczegóły?-spytałBen, pospiesznie wychodząc.

- Kobieta i mężczyzna - odparła Fran. - Ich samochód wypadł z szosy między Kelso a Jedburgh. Podobno kobieta jest ciężko ranna. Ma rozległe obrażenia twarzy i kłopoty z oddychaniem.

- Zawiadom Eda Harveya z chirurgii plastycznej i dyżurnego chirurga. Uprzedź też laboratorium, że będę potrzebował czterech jednostek krwi. Kiedy ma przyjechać karetka?

- Za piętnaście minut.

Izzie zdążyła jeszcze opatrzyć poparzoną rękę jakiegoś dziecka, zanim rozległy się syreny zajeżdżającej pod szpital karetki. Po chwili sanitariusze wtoczyli do środka nosze na kółkach. Kobieta miała zakrwawioną twarz i oddychała z trudem.

- To jest Maria Mackinlay, a mężczyzna nazywa się George Haig - poinformował sanitariusz.

- Przyjaciele, krewni, znajomi? - spytał Ben, podłączając nową kroplówkę, podczas gdy Izzie rozcinała ubranie rannej.

- Pan Haig odmówił podania numeru swojego telefonu domowego, więc domyślamy się, że jego i pannę Mackinlay łączy coś więcej niż przyjaźń, a jego żona nic o tym nie wie.

- Rozumiem - mruknął Ben. - Czy wiecie, co się stało?

- Kiedy gwałtownie skręcił, chcąc uniknąć zderzenia z innym samochodem, ona wyleciała przez przednią szybę.

## Z POTRZEBY SERCA

- Dlaczego, na litość boską, ludzie nie zapinają pasów?
- Ona na chwilę go rozpięła - wyjaśnił sanitariusz - właśnie kiedy próbowała przekonać pana Haiga, żeby zwolnił. On jest pijany...

Ben cicho zaklął, przykładając stetoskop do klatki piersiowej pacjentki.

- Nie słyszę żadnych szmerów oddechowych po prawej stronie.
  - Zaintubowaliśmy ją od razu - rzekł sanitariusz - ale...
  - Tchawica jest trochę przesunięta w lewo - dokończył Ben.
- Steve, ty zajmiesz się mężczyzną. Mam wrażenie, że to tylko powierzchowne rany, ale krzycz, jeśli będziesz potrzebował pomocy.

- Ciśnienie krwi sześćdziesiąt na czterdzieści - powiedziała Izzie z niepokojem.

Powietrze przedostawało się do klatki Marii przy każdym wdechu, lecz z niej z powrotem nie uchodziło. Utworzyła się wielka bańka powietrza, która uciskała na zapadnięte płuco. Muszą szybko działać, bo w przeciwnym wypadku dojdzie do ucisku na serce i naczynia krwionośne, co grozi niedotlenieniem mózgu.

Ben wbił igłę punkcyjną w górną część klatki piersiowej pacjentki, by wypuścić powietrze. Musieli ponownie napompuwać płuco i usunąć krew z jamy opłucnowej. Ben jednym szybkim ruchem zrobił niewielkie nacięcie na klatce piersiowej Marii i wprowadził trokar.

- Ciśnienie krwi stabilizuje się, tchawica wraca na miejsce - oznajmiła Izzie z ulgą.

- Dobrze, ja zajmę się oddechem, a ty usuń z jej twarzy możliwie najwięcej odłamków szkła - polecił Ben. - Ale rób to bardzo ostrożnie.

Izzie kiwnęła głową i zabrała się do żmudnej, przykrej czynności. Wiedziała, że złamany nos zostanie nastawiony, złamaną

zuchwę i zmiażdżoną kość policzkową można będzie odtworzyć, ale nawet najlepszy chirurg nie przywróci jej urody.

- Musiała być bardzo ładna - mruknęła, kiedy Ben pochylił się, by sprawdzić postępy w jej pracy.

- To należy już do przeszłości - powiedział bezbarwnym głosem, kiedy do pokoju wszedł doktor Harvey.

- Jak wygląda sytuacja? - spytał.

- Odma opłucnowa - odrzekł Ben. - Odbarczyłem ją i teraz płuco wydaje się pracować. Najgorsze są urazy twarzy.

- Widzę - westchnął Ed, a kiedy ruszył za sanitariuszem pchającym nosze z pacjentką, Ben chwycił go za ramię.

- Niech pan zrobi dla panny Mackinlay wszystko, co w pańskiej mocy, dobrze? - poprosił.

- Czyżby nikt panu dotąd nie powiedział, że na widok moich szwów projektanci gobelinów z Bayeux zielenieją z zazdrości? - zażartował Ed.

Ben uśmiechnął się, ale po wyjściu Eda znów spochmurniał.

- Proszę zrobić sobie przerwę - rzekła Izzie, dostrzegając na jego twarzy oznaki zmęczenia. - Steve da sobie radę...

- Czy ten kierowca nadal tu jest? - spytał tonem, który obudził w Izzie niezrozumiały niepokój.

- Chyba tak. Policja na pewno zechce z nim porozmawiać.

Mówiła w próżnię, ponieważ Ben już wyszedł. Instynktownie podążyła za nim.

- Prawie skończyłem - oznajmił Steve na widok Bena. - Poza pękniętym obojczykiem pacjent ma tylko drobne rany cięte i stłuczenia.

- Z pewnością panna Mackinlay nie będzie posiadać się z radości, słysząc te nowiny - powiedział Ben lodowatym tonem.

- Jak ona się czuje? - spytał Haig.

- Właśnie odesłaliśmy ją na salę operacyjną. Przy odrobinie

szczęścia naszemu chirurgowi uda się zrekonstruować jej twarz, choć nie jestem pewien, czy pan ją rozpozna.

- Ale wyzdrowieje, prawda? - spytał Haig, wyraźnie blednąc. - To znaczy, nie umrze?

- Nie, nie umrze. Jednakże będzie potrzebowała sporo czasu, żeby przyzwycząić się do swojego nowego wyglądu.

- To był wypadek...

- Niech pan zachowa swoje wyjaśnienia dla policji - przerwał mu Ben. - Ja chcę tylko, żeby poda! mi pan numer swojego telefonu domowego oraz nazwisko kogoś, z kim moglibyśmy się skontaktować w sprawie panny Mackinlay.

- Czy to jest konieczne? - spytał pan Haig z wyraźnym zakłopotaniem. - Mnie nic nie jest, a pan twierdzi, że Maria wyzdrowieje, więc...

- Owszem, ale najprawdopodobniej dość długo zostanie w szpitalu. Czy nie sądzi pan, że chciałaby, aby od czasu do czasu odwiedzał ją ktoś, kto naprawdę się o nią troszczy?

- Jej rodzice mieszkają w Essex - wyjaśnił mężczyzna z niepokojem. - To starsi ludzie. Chyba nie powinno się ich niepotrzebnie denerwować? Jeśli jest to kwestia pieniędzy...

- Pieniądzy? - powtórzył Ben, marszcząc brwi.

- Chodzi mi o koszty pobytu w szpitalu i inne, związane z tym sprawy. Jestem gotów pokryć...

- To jest państwowa służba zdrowia, panie Haig - przerwał mu Ben chłodno. - Nie ma mowy o żadnych opłatach. Czy mógłby pan nam w końcu podać te dwa numery telefonów?

George Haig opuścił wzrok.

- Kłopot polega na tym, że moja żona nie wie o istnieniu Marii, a jeśli zadzwonicie do państwa Mackinlay i oni tu przyjadą, na pewno zaczną zadawać mnóstwo krępujących pytań...

- Krępujących pytań? - wybuchnął Ben. - Może powinien był pan pomyśleć o tych krępujących pytaniach, zanim zaczął

pan oszukiwać swoją żonę! Albo zanim usiadł pan pijany za kierownicą!

Izzie dostrzegła kątem oka, że Steve patrzy na Bena przerażonym wzrokiem, postąpiła więc krok do przodu.

- Panie doktorze...

- Tacy ludzie jak pan nigdy nie myślą o konsekwencjach swoich poczynań! - ciągnął Ben. - Po prostu żyją dniem dzisiejszym i z niczym się nie Uczą! Mógł pan zabić tę kobietę, a zapewniam pana, że kiedy odzyska przytomność i zobaczy swoją twarz...

- Doktorze Farrell, proszę! - wyszeptęła Izzie, nerwowo pociągając go za rękaw.

- Co? Czego pani chce? - spytał, gwałtownie się do niej odwracając.

Nigdy dotąd nie widziała na niczyjej twarzy takiego gniewu, zanim więc zdołała wykrztusić słowo, musiała wziąć głęboki oddech.

- Myślę... - zaczęła - że wzywa pana siostra Walton.

Ben szorstko odepchnął ją na bok i wyszedł z pokoju. Izzie modliła się w duchu, by odzyskał panowanie nad sobą, zanim odkryje, że Fran wcale go nie wzywała.

- O co mu, do diabła, chodziło? - mruknął Steve.

- To nie nasza sprawa - odparła półgłosem.

- Ale sposób jego zachowania, mówienie o nieetycznym...

- Czyżbyś nigdy nie stracił panowania nad sobą? Nigdy nie miałeś złego dnia?

- No, nie musisz na mnie wrzeszczeć! - zaperzył się. - To nie mnie poniosły nerwy.

Gdy Izzie wyszła na korytarz, usłyszała dobiegające z rejestracji podniesione głosy. Na litość boską, o co znów chodzi? - pomyślała, biegnąc w tamtym kierunku. Dostrzegła Mavis, która wybiegła z oddziału jak przerażony królik, i stojącego obok rejestracji wzburzonego Bena.



- Co tu się dzieje? - spytała.

- Chodzi o Mavis - zaczęła April. - Doktor Farrell odkrył, że nic jej nie dolega.

- No właśnie! - wybuchnął Ben z wściekłością, najwyraźniej zapominając o siedzących w poczekalni pacjentach, którzy zerkali na nich z ciekawością. - Dlaczego, do cholery, pozwalacie jej tu się kręcić? To nie miejsce taniej rozrywki, kiedy nie ma nic interesującego w telewizji!

Izzie patrzyła na niego w milczeniu. Doszła do wniosku, że łagodną perswazją niczego nie wskóra. Chwyciła go za rękę i pociągnęła w stronę jego gabinetu.

- Co, u diabła, pani robi? - spytał, odtrącając jej dłoń.

- To, co pan widzi. Próbuję zaciągnąć pana do gabinetu, zanim zupełnie straci pan rozum i posunie się do rękoczynów.

Spojrzał na nią rozpalonym wzrokiem, a potem odwrócił się i zniknął za drzwiami. Patrzyła za nim błada i roztrzęsiona.

- Izzie?

Odwracając się w stronę April, zmusiła się do uśmiechu.

- Nie, April, nie mam zielonego pojęcia, o co mu chodzi, ale zamierzam się tego dowiedzieć.

Z tym postanowieniem ruszyła w stronę gabinetu Bena. Przed drzwiami wzięła głęboki oddech, a potem nacisnęła klamkę. Kiedy weszła, Ben stał nieruchomo, wyglądając przez okno.

- Doktorze Farrell, czy nic panu nie jest?

- Cóż za idiotyczne pytanie!

- Moim zdaniem, jest całkiem sensowne - odparła spokojnie, choć czuła, że palą ją policzki. - Wrzeszczy pan na pacjenta...

- Był pijany.

- To prawda, ale nie jesteśmy tu po to, żeby wydawać oceny moralne. Potem krzyczy pan na biedną staruszkę, której jedyne przewinienie polega na tym, że jest samotna...

Urwała. Gdy Ben się do niej odwrócił, dostrzegła na jego twarzy wyraz takiego bólu, że instynktownie zrobiła krok w jego stronę. On jednak powstrzymał ją gestem ręki.

- Ma pani rację - przyznał ochrypłym głosem. - Doskonale wiem, że nie powinienem był tracić panowania nad sobą, ale... moją żonę zabił właśnie pijany kierowca.

- Och, Ben, tak mi przykro - wyszeptała, bezwiednie zwracając się do niego po imieniu, ale on chyba nawet tego nie zauważył, bo zamknął oczy i oparł głowę o framugę okna.

Przez chwilę spoglądała na niego, nie mogąc podjąć decyzji. Gdyby był pacjentem albo jej krewnym, bez zastanowienia mocno by go objęła. Ale co z tego, że nie jest jej pacjentem ani krewnym? Najwyraźniej potrzebuje pocieszenia.

- Tak bardzo mi przykro - wyszeptała, otaczając go ramieniem. - Wiem, że to, co chcę powiedzieć, jest niewspółmierne do...

- Nie niewspółmierne - przerwał chłodnym tonem, uwalniając się z jej uścisku. - Po prostu niepotrzebne. To wydarzyło się dwa lata temu. Najlepiej o tym zapomnieć.

Wcale nie zapomniałeś, pomyślała, spoglądając na jego ściągniętą bólem twarz. Pamiętasz ten dzień tak wyraźnie, jakby to było wczoraj.

- Gdyby kiedykolwiek chciał pan porozmawiać, to jestem świetnym słuchaczem - dodała łagodnie.

- Rozmowa niczego nie zmieni - odparł.

- Ale...

- Nie potrzebuję pani współczucia, Izzie.

- Każdy potrzebuje niekiedy pomocy...

- Ale nie ja. Jeśli naprawdę chce pani na coś się przydać, to niech pani wraca do pracy! - odezwał się ostrym tonem, a ona z przerażeniem poczuła napływające do oczu łzy.

- Przepraszam - wyszeptała. - Przykro mi, że niepotrzebnie

## Z POTRZEBY SERCA

wtrąciłam się do nie swojej sprawy, ale nie było to moim zamiarem. - Pospiesznie ruszyła w stronę drzwi.

Ben niespodziewanie chwycił ją za ramię.

- Och, Izzie, przepraszam. Wiem, że chciała mi pani pomóc, ale... nie jestem w stanie znieść współczucia.

- Wydaje mi się... - zaczęła po chwili namysłu - że dobrze zrobiłaby nam filiżanka herbaty.

- Herbaty? - powtórzył ze zdumieniem, a widząc w jej oczach ból, pospiesznie dodał: - Och, przepraszam. To wspomniały pomysł.

- Wobec tego zaraz wrócę - powiedziała, wychodząc z gabinetu i kierując się w stronę pokoju dla personelu.

Włączyła czajnik i zaczęła zastanawiać się nad powodem przyjazdu Bena do Kelso. Czyżby chciał uciec od wspomnień? Doszła do wniosku, że ona by tak nie postąpiła. Zostałaby wśród przyjaciół i rodziny, ale może on nie był w stanie tego zrobić.

- No i co? - spytał Steve, wchodząc do pokoju. - Mam na myśli ten wybuch gniewu w obecności pana Haiga. Czy dowiedziałas się, o co mu chodziło?

- Owszem - odparła, stawiając na tacy dwie filiżanki i czajniczek z esencją.

- Więc o co?

- O nic. Pan Farrell wyznał mi to w tajemnicy.

- Jasne - przytaknął, siląc się na czuły ton. - Ale to ja, Steve, kochanie. Przecież nie mamy przed sobą tajemnic, prawda?

- Tak, ale tym razem nie mogę ci powiedzieć.

- Izzie...

- To nie byłoby uczciwe. Chyba mnie rozumiesz, prawda?

Przez chwilę spoglądał na nią z rozdrażnieniem, a potem uśmiechnął się ze skruchą.

- Pewnie masz rację. Ale, Izzie - powiedział, kiedy ruszyła

w stronę drzwi - nie miej przede mną zbyt wielu tajemnic, dobrze? Jesteś moją dziewczyną, a mogę stać się zazdrosny.

- Zazdrosny? - powtórzyła. - O mnie i o...? - Potrząsnęła głową, wybuchając śmiechem. - To najbardziej absurdalna historia, jaką kiedykolwiek słyszałam - dodała i wyszła.

- Szybko się pani uwinęła - powiedział Ben, kiedy zjawiła się w jego gabinecie i postawiła tacę na biurku.

- Ktoś już wcześniej zagotował wodę - wyjaśniła, patrząc na niego badawczo. - Czy... lepiej się pan teraz czuje?

- Jeśli pyta pani o to, czy się uspokoiłem, to tak. - Jego usta wykrzywił lekki uśmiech. - Nie musi się pani obawiać. Nie tracę panowania nad sobą na widok każdego pijanego kierowcy.

Zawstydziła się, bo prawdę mówiąc, tego właśnie się obawiała.

- Więc dlaczego...?

- Dzisiaj tak zareagowałem? - Westchnął. - Na dobrą sprawę, sam nie wiem. Może spowodował to widok zmasakrowanej twarzy tej dziewczyny i świadomość, że można było tego uniknąć... Podobnie jak można było uniknąć śmierci Caroline.

- Jak długo byliście małżeństwem? - spytała, siadając na przeciw niego.

- Pięć lat.

- Doktorze Farrell...

- Przedtem zwróciła się pani do mnie po imieniu.

- Nie zamierzałam... Po prostu tak mi się wymknęło...

- Myślę, że po tym wszystkim, co pani dzisiaj przeze mnie przeszła, ma pani do tego pełne prawo - przerwał jej, szeroko się do niej uśmiechając.

Doszła do wniosku, że Ben ma bardzo miły uśmiech. I ładne usta. Szerokie, delikatne i...

Szybko wypić łyk herbaty. Czyżby aż tak bardzo brakowało jej Steve'a, że zaczęła uważać Bena za pociągającego mężczyznę?

- Czy jako... przyjaciółka - wyjątkowo - mogę coś zasugerować?

- Co? - spytał z zaciekawieniem.

- Sądzę, że powinien pan zacząć spotykać się z ludźmi.

- To znaczy, umawiać się na randki?

- Nie miałam na myśli randek - wyjaśniła pośpiesznie. - Tylko to, że powinien pan wychodzić z kimś do restauracji czy do kina.

- Z kimś takim jak pani przyjaciółka, Joanna?

Wykluczone, pomyślała z przerażeniem. Joanna jest ostatnią osobą na świecie, którą bym mu poleciła.

- Ona wcale nie jest moją przyjaciółką - mruknęła - ale chyba pana polubiła.

- Chyba tak.

- I jest bardzo ładna - przyznała Izzie z zazdrością. - Jeśli podobają się panu rude kobiety.

- Moja żona miała rude włosy.

- Naprawdę? - powiedziała bez entuzjazmu. - Pewnie była... drobna i piękna, tak jak Joanna.

- Owszem.

Po co w ogóle poruszyłam ten temat? - pomyślała. Chciała jedynie trochę go rozerwać rozmową, a teraz sama poczuła się dziwnie przygnębiona.

- Joanna jest rozwiedziona, prawda?

Rozwiedziona, a na czole ma napis: „Do wzięcia”, pomyślała Izzie z przekąsem.

- Tak - mruknęła. - Lepiej już pójdę. Pewnie wszyscy zastanawiają się, gdzie przepadłam.

Ben wstał i wyciągnął do niej rękę.

- Dziękuję za wybawienie mnie z dzisiejszej opresji, Izzie. Mam wobec ciebie dług wdzięczności.

Zapewniam cię, że go sobie odbiorę, powiedziała w duchu.

Kiedy dotknął jej dłoni, poczuła dziwne bicie serca. To jakiś obłęd, pomyślała, spoglądając na niego. Przecież ten mężczyzna wcale mnie nie interesuje. I nigdy nie byłabym w stanie się nim zainteresować. Choć ma miły uśmiech i ładne usta, a niktę pasemka siwych włosów są naprawdę urocze, zupełnie nie jest w moim typie. Ale skoro tak, to dlaczego ciągle się przy nim czerwienię?

- Ja... naprawdę muszę już iść - wyjąkała, bezskutecznie próbując uwolnić dłoń z jego uścisku. - Steve i Fran...

- No właśnie, Steve...

- Co Steve? - powtórzyła, zupełnie zbita z tropu.

- Byłaś na tyle uprzejma, żeby udzielić mi kilku rad, więc czy mogę się odwzajemnić? Nie pozwalaj mu traktować się w taki sposób.

- W jaki? - spytała ze zdziwieniem.

- Te wszystkie bezsensowne zwroty, takie jak „dziecinko” czy „kochanie”, są po prostu poniżające.

Patrzyła na niego oniemiała z oburzenia.

- Niektórzy uważają te określenia za bardzo miłe...

- Naprawdę?

- Owszem. Tak czy owak, twierdzenie, że Steve źle mnie traktuje... Nic nie wiesz o nim i o mnie, a poza tym nie wtykaj nosa w moje prywatne życie!

Dostrzegła w jego oczach błysk złości i przez chwilę myślała, że odpowie jej ostro, ale on kiwnął głową.

- Masz absolutną rację - mruknął.

Jasne, że mam, pomyślała, z wściekłością zatrząskując za sobą drzwi jego gabinetu.

- Izzie! - zawołał Steve, wychodząc z izby przyjęć.

- Co mogę dla ciebie zrobić? - zapytała, siląc się na uśmiech.

- Uszczęśliw mnie - poprosił, obejmując ją w pasie i przyciągając do siebie. - Pozwól mi dzisiaj przyjść do siebie.

Poczuła, że jej serce radośnie podskakuje, lecz już po chwili posmutniała.

- Och, Steve, bardzo żałuję, ale to niemożliwe. Zaprosiłam już na kolację Joan Stewart z patologii.

- Więc powiedz jej, żeby przy szła jutro - nalegał, delikatnie całując ją w ucho.

- Nie mogę tego zrobić - wyszeptała z żalem. - Joan ma ciężko chorą matkę i pragnie z kimś porozmawiać.

- A co ze mną? - spytał, wypuszczając ją z objęć. - Ja też chcę z kimś porozmawiać. A może nic już dla ciebie nie znaczę?

- Nieprawda - zaprzeczyła, dostrzegając w jego oczach błysk gniewu. - Posłuchaj, wpadnij do mnie jutro wieczorem...

- Jutro wieczorem mam seminarium.

- Więc w piątek. Och, nie, w piątek idę z Fran do kina.

- Widzę, że jesteś rozrywana - powiedział z ironią. - Och, nie ma o czym mówić - dodał, widząc, że Izzie zamierza protestować. - Może wyznaczysz mi spotkanie na wtorek za dwa tygodnie, jeśli oczywiście nie będziesz wtedy zbyt zajęta! - dookończył z wściekłością i odszedł.

Przygryzła wargi, zastanawiając się, dlaczego czuje wobec Steve'a tak mało życzliwości. Doszła do wniosku, że to z winy Bena, choć nie wiedziała, dlaczego tak właśnie uważa.

- Mężczyźni! Same z wami kłopoty - mruknęła pod nosem.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Westchnęła tęsknie, spoglądając na wiszącą w witrynie suknię. Była uszyta z seledynowego jedwabiu, miała ozdobiony paciorkami, obcisły stanik, cieniutkie ramiączka i spódnicę, która układała się w fantastyczne fałdy. Pomyślała, że taki strój byłby idealny na zabawę po organizowanym przez szpital festynie, który miał się odbyć w nadchodzącym tygodniu. Niestety, cena sukni była równie oszałamiająca jak sama suknia. Raz jeszcze westchnęła i schyliła się po torby z zakupami. Wszystko wskazuje na to, że znów będzie musiała włożyć swoją starą, wysłużoną, niebieską sukienkę.

- Izzie!

Obejrzała się, i na widok zbliżającego się do niej Bena aż jęknęła. Że też musiałam spotkać właśnie jego, pomyślała.

- Dźwigasz straszne ciężary - powiedział, zerkając na jej torby. - Robiłaś zakupy?

Nie, latałam samolotem, pomyślała z goryczą.

- Wybacz mi - odparła, zamierzając odejść - ale trochę się spieszę...

- Naprawdę musisz iść? Wybieram się na lunch i miałem nadzieję, że będziesz mi towarzyszyć. Proszę - nalegał, najwyraźniej wyczuwając jej niechęć. - Wiem, że znalazłem się na twojej czarnej liście po moich uwagach na temat Steve'a, więc chciałbym jakoś się zrehabilitować.

Zamierzała mu odmówić, ale spoglądał na nią tak błagalnym wzrokiem, że ku własnemu zaskoczeniu się zgodziła.



- Ale pod warunkiem, że będzie to szybki lunch. Muszę być w szpitalu najpóźniej o drugiej.

- Ja również - oświadczył z uśmiechem, biorąc od niej torby. - Gdzie stoi twój samochód? Włożę te zakupy do bagażnika.

- Za rogiem, na Bridge Street, jeśli policja go nie odholowała, sądząc, że jest to porzucony wrak.

- Czyżby był aż taki stary?

- Można to tak określić. Podobno Ben Hur brał na nim swoją pierwszą lekcję jazdy.

Ben odrzucił głowę do tyłu i głośno się roześmiał, ale kiedy szli przez plac, lekko zmarszczył brwi.

- Co masz w tych torbach? Kamienie?

- Zapasy na cały tydzień. Daj mi jedną - poprosiła, lecz Ben potrząsnął głową. - Zwykle kupuję wszystko za jednym zamachem. Nie muszę wtedy tracić na to czasu po pracy.

- Czy Steve nie mógłby ci w tym pomóc? - spytał z lekką irytacją w głosie.

- Mógłby, ale przeprowadził się do służbowego mieszkania.

- Czyżbyście się rozstali?

- Bynajmniej - roześmiała się. - Steve przygotowuje się do egzaminów i chyba uważa, że ja go rozpraszam.

- Wcale mnie to nie dziwi.

- Ależ ja nie jestem przesadnie hałaśliwa!

- Nie to miałem na myśli.

Spojrzała na niego z zastanowieniem. Jednakże Ben patrzył teraz z zainteresowaniem na stojący przy placu budynek.

- Ilekroć przyjeżdżam do Kelso, przypomina mi się Prowansja - powiedział.

- Prowansja? - powtórzyła zaskoczona.

Ben kiwnął głową.

- Gdyby okoliczne domy miały drewniane okiennice, moglibyśmy czuć się jak w jakimś francuskim miasteczku.

- Nigdy nie byłam we Francji - oznajmiła, kiedy skręcali w Bridge Street. - Prawdę mówiąc, w ogóle nie byłam za granicą.

- Jak to? Nigdy w życiu? - spytał, kiedy zatrzymała się obok najstarszego renault, jaki kiedykolwiek widział.

- Mam szczęście, że przy mojej pensji nie mieszkam w tekturowym pudle, a co dopiero mówić o wyjazdach za granicę.

- Przepraszam, nie przyszło mi to do głowy - mruknął, lekko się czerwieniąc, a potem włożył sprawunki do bagażnika.

- To cecha zamożnych lekarzy. Dokąd pójdziemy na lunch?

- Myślałem o Ednam House - odparł.

- Ednam House? - zawołała, gwałtownie przystając.

- Spędziłem tam tydzień, zanim przeprowadziłem się do mojego domku i mogę zaręczyć, że mają doskonałą kuchnię.

- Z pewnością, ale nie jestem odpowiednio ubrana na lunch w tak eleganckim hotelu.

- Nie widzę w twoim stroju niczego nieodpowiedniego.

Typowy mężczyzna, pomyślała. Inna kobieta w lot pojęłaby, że każda dziewczyna przy zdrowych zmysłach, idąc do takiego lokalu, chciałaby wyglądać jak najkorzystniej.

- Tuż za rogiem jest bardzo miła kawiarnia - powiedziała.

- Lubię Ednam House - oświadczył, prowadząc ją w kierunku hotelu. - Moim zdaniem wyglądasz wspaniale.

- Chętnie zjadłabym lunch w kawiarni - nalegała, kiedy dotarli do hotelowej bramy z kutego żelaza.

- Czy nie możesz przestać przejmować się swoim strojem? Mówiłem już, że wyglądasz wspaniale.

Nie czekając na jej odpowiedź, minął bramę i ruszył zwirowym podjazdem w kierunku schodów, wiodących do okazałego budynku z epoki króla Jerzego. Powitano go tam jak dobrego znajomego.

- Czy będą państwo jedli w restauracji czy w barze? - spytał kierownik. - A może wola państwo usiąść na tarasie?

Ben spojrzał pytająco na Izzie.

- To wspaniały pomysł - powiedziała, a potem dodała półgłosem: - Dzięki temu będę mogła wyobrazić sobie, że jestem w jednym z tych francuskich miasteczek.

- Czy nigdy mi tego nie wybaczysz?

- Ależ wybaczę - odparła z przewrotnym uśmiechem, gdy znaleźli się na tarasie. - Ale najpierw musisz swoje odcierpieć.

Roześmiał się, a potem odsunął dla niej krzesło. Z tarasu rozciągał się widok na płynącą w dole rzekę Tweed.

- Nadal uważam, że Steve mógł oderwać się na chwilę od nauki i pomóc ci w zakupach - powiedział Ben, siadając naprzeciw niej. - One ważą chyba z tonę.

- Czy nie sądzisz, że lepiej będzie, jeśli powstrzymamy się od rozmowy na temat Steve'a?

- Ale...

- To może skończyć się bójką, więc porozmawiajmy o czymś innym.

- Dobrze - zgodził się, kiedy kelner wręczył im karty dań. - Może opowiesz mi o sobie.

- Mój życiorys nie zajmie więcej niż pięć sekund - odrzekła posępnie. - Urodziłam się pod Kelso, chodziłam do szkoły w Kelso, odbywałam staż w tutejszym szpitalu, i na tym koniec.

- Wnoszę z tego, że lubisz Kelso, prawda?

- Lubić to zbyt mało powiedziane. Kocham to miasteczko i jego mieszkańców. Uwielbiam spacerować po rynku, wiedząc, że stąпам po śladach takich ludzi jak dobry książę Karol i Walter Scott. Uwielbiam wałęsać się po Horsemarket, wyobrażając sobie Cyganów pędzących konie po bruku albo stoiska jarmarczne z ubiegłego stulecia.

Ben uśmiechnął się i spojrzał na kelnera.

- Proszę o sałatkę z łososiem. A ty, Izzie?
- Wezmę to samo, ale proszę jeszcze o bułkę i masło.

Kiedy kelner odszedł, Ben odwrócił się do niej.

- Więc jesteś romantyczką?

- Jeszcze jaką! Miłość od pierwszego wejrzenia, a potem wieczne szczęście, stare wiejskie chaty i sentymentalna muzyka. - Widząc, że w miarę jej słów Ben posępnieje, spojrzała na niego uważnie. - Ty chyba nie jesteś romantykiem?

- Już nie - odparł z goryczą.

Aż jęknęła w duszy. Jakże Ben ma wierzyć w wieczne szczęście po tragicznej śmierci żony? Zaczęła rozpaczliwie szukać w myślach jakiegoś innego tematu.

- Jak ci się mieszka w Domku Strażnika? - spytała w końcu.

Spojrzał na nią zaskoczony, a potem lekko się uśmiechnął.

- Widzę, że personel szpitala wie o wszystkim.

- Możesz być tego pewny - powiedziała wesoło. - Wystarczy, że raz kichniesz, a pod koniec dnia wszyscy będą ci podsuwać chusteczki do nosa i radzić, jak pozbyć się kataru.

- Ten domek bardzo mi się podoba. Rzeka płynie niemal pod jego progiem, a z okien rozciąga się widok na wzgórze Eildon... Czego więcej można żądać?

- Tak, to istotnie uroczy domek - mruknęła z zazdrością.

- Znasz go? - spytał, kiedy kelner przyniósł sałatki.

- Owszem. Mieszkała w nim moja nauczycielka biologii.

Tylko uważaj podczas spacerów po tych wzgórzach.

- Dlaczego? - spytał ze zdziwieniem.

- Żyją tam elfy i duszki.

- Rozumiem - powiedział, wybuchając śmiechem. - Ładna bajka.

- Ja wcale nie żartuję - oznajmiła poważnym tonem, choć w jej oczach migotały wesołe iskierki. - Thomas Rhymer też

nie wierzył w ich istnienie, dopóki nie zakochała się w nim królowa elfów i nie porwała go do swego królestwa.

- Myślę, że nie jest to najgorszy los, zwłaszcza jeśli porywaczką jest piękna kobieta.

- Podobno jest bardzo piękna, ale niektórzy twierdzą, że Thomas zakochał się w niej z powodu jej włosów. Myślę, że to nie ma sensu, bo przecież nie można zakochać się w kimś z powodu włosów, prawda?

- To nie jest wykluczone.

- Ale niezbyt prawdopodobne. Chyba nie zakochałbyś się w kobiecie z powodu jej włosów, prawda?

- Tego również bym nie wykluczył.

Zamierzała zaprotestować, ale Ben utkwiał wzrok w swoim talerzu. Nagle zdała sobie sprawę, że znów popełniła gafę. Przecież powiedział jej, że jego żona miała wspaniałe rude włosy. Dlaczego w porę sobie o tym nie przypomniała?

- Czy urodziłeś się w Newcastle? - spytała, pragnąc zmienić temat.

- Sądziłem, że mój akcent wyraźnie na to wskazuje.

Izzie zauważyła już wcześniej, że jego północny akcent daje o sobie znać jedynie wtedy, gdy jest bardzo zły albo do głębi czymś poruszony.

- Moi rodzice umarli, nie mam rodzeństwa - ciągnął, jakby zgadując, że Izzie zamierza go o to spytać - więc nic mnie tam nie trzymało.

- Ja mam pięciu braci.

- Pięciu? - powtórzył, unosząc brwi.

- Moja matka miała podobne odczucie - przyznała ze śmiechem. - Bardzo się ucieszyła, kiedy w końcu przyszedłam na świat, ale niestety, zawiodłam jej nadzieje. Chciała, żebym nosiła wstążki i koronki, a ja uwielbiałam łązić z braćmi po drzewach.

- Na pewno miło jest mieć liczną rodzinę - mruknął.  
- Zapewniam cię, że każdy kij ma dwa końce.  
- Idę o zakład, że twoi bracia poddawali każdego kawalera szczegółowemu przesłuchaniu, zanim pozwolili mu się z tobą umówić.

Ku jego zaskoczeniu Izzie lekko się skrzywiła.

- To nie było dla nich przesadnie uciążliwe, bo nie miałam zbyt wielu adoratorów.

- Nie wierzę!

- Ale to prawda - odrzekła z westchnieniem. - Mężczyźni nie lubią spotykać się z dziewczyną, która przewyższa ich wzrostem, a ja byłam już taka wysoka w wieku czternastu lat.

- Wcale nie jesteś aż tak wysoka. Przecież jesteś sporo niższa ode mnie.

- Owszem, ale ty należysz do wyjątków. Poza tym nie chodzi wyłącznie o mój wzrost. - Zmarszczyła brwi, próbując znaleźć właściwe słowa. - Wiem, że nie grzeszę urodą. Problem polega na tym, że sprawiam wrażenie piekielnie zaradnej. Kiedy łąpię gumę, kierowcy uważają, że dam sobie radę, i jadą dalej.

- Mogę tylko powiedzieć, że mężczyźni z Kelso muszą być ślepi lub głupi, jeśli nie doceniają twojej urody.

Nie wierząc, że Ben mówi poważnie, wybuchnęła śmiechem.

- Wobec tego mam szczęście, że Steve nie jest ani ślepy, ani głupi.

Ben nagle spoważniał i odsunął na bok swój pusty talerz.

- Tak, z pewnością nie jest ślepy - mruknął.

Izzie odniosła wrażenie, że coś go zirytowało.

- Ben...

- Czy masz ochotę na kawę? - przerwał jej, gestem ręki przywołując kelnera.

Zerknęła na zegarek i potrząsnęła głową.

- Muszę odwieźć zakupy do domu, a już wpół do drugiej.  
- Nie zmienisz zdania?  
- Nie - odparła z żalem, a potem dodała: - Mój szef ma bzika na punkcie punktualności i zrobi mi piekło, jeśli się spóźnię.

Uśmiechnął się, a jego spojrzenie nagle złagodniało.

- Pewnego dnia, Izzie, pewnego dnia...  
- Zrównasz mnie z ziemią - przerwała mu zuchwale, kiedy płacił rachunek. - Tak, wiem o tym.

Odsunęła krzesło, zamierzając wstać, ale Ben nieoczekiwanie powstrzymał ją gestem ręki.

- O co chodzi? - spytała z przerażeniem. - Czy to osa? Nie cierpię tych owadów.

- Nie, to tylko kilka okruszków chleba, które przyłgnęły do twoich ust.

Zanim zdążyła sięgnąć po serwetkę, Ben pochylił się i delikatnie przesunął palcem po jej dolnej wardze.

- Czy teraz jest już dobrze? - spytała, czując przyspieszone bicie serca.

- Nie, został jeszcze jeden - mruknął, a kiedy ponowił swój zabieg, pomyślała, że serce przestanie jej bić.

Znalazł się na tyle blisko niej, że poczuła woń sosnowego mydła zmieszana z zapachem wody po goleniu. Gwałtownie zerwała się z krzesła, omal nie strącając ze stołu karafki z wodą.

Co się z nią dzieje? Dotknął jej zaledwie dwukrotnie, a za każdym razem reagowała w ten sam niewytłumaczalny sposób. Mogłaby to zrozumieć, gdyby był zniewalająco przystojny, ale to określenie zupełnie do niego nie pasowało. Sama nie wiedziała, dlaczego tak silnie reaguje na jego dotyk. Wiedziała tylko, że to musi się skończyć - i to szybko.

- Dziękuję za lunch i dźwiganie moich sprawunków - powiedziała, kiedy odprowadził ją do samochodu.

- Zawsze do usług - oznajmił pogodnie, otwierając jej drzwi. - Miałaś rację, mówiąc, że powinienem częściej wychodzić z domu.

- Czy Fran wspominała ci o festynie, który ma się odbyć w przyszły weekend? - zapytała.

- Nie. Pewnie wie, że mam wtedy dyżur.

- Ależ poza Tess i Steve'em wszyscy mamy wolny dzień.

- Tym bardziej powinienem być osiągalny, na wypadek, gdyby Steve mnie potrzebował.

- Przecież masz pager - powiedziała. - W dodatku festyn odbędzie się w pobliżu szpitala, więc w razie potrzeby szybko się tam znajdziesz. Poza tym Steve i Tess nie dyżurują sami. Będą im towarzyszyć siostry Norman i Jenkins.

- Ale...

- Żadnych „ale” - przerwała mu pospiesznie. - Jeśli zamierzasz się z tego wymigać, to będziesz musiał przekonać Fran, ale uprzedzam, że ona jest bardzo uparta.

I miała rację. Kiedy zmalął popołudniowy ruch pacjentów, Fran wzięła notatnik i z wyrazem determinacji na twarzy podeszła do Bena.

- To służy dobrej sprawie, doktorze Farrell - powiedziała, kiedy zaczął przebąkiwać o swych innych zobowiązaniach. - Cały dochód z festynu zostanie przekazany naszemu szpitalowi.

- Wiem - odrzekł, zmazując z tablicy nazwisko ostatniego pacjenta - ale nigdy w życiu nie prowadziłem kramu. Nawet nie wiem, jak to robić.

- Dlaczego nie zaproponujesz doktorowi Farrellowi sprzedaży losów na loterię? - podszeptał Steve. - To nie jest ciężka praca.

- Nie, ale okropnie nudna - zaoponowała Izzie, przypadkiem słysząc jego słowa.



- To była tylko luźna propozycja - mruknął Steve.
  - Skoro nie ma pan ochoty prowadzić kramu - zaczęła Fran, kartkując swój notatnik - to może zagrałby pan w rugby? Brakuje nam jednego zawodnika.
  - Niestety, nie umiem grać w rugby - wyjaśnił Ben. - W wolnych chwilach łowię ryby i maluję dla przyjemności.
  - Maluje pan? - powtórzył Steve. - Kwiaty, ptaszki i martwą naturę?
  - Raczej pejzaże i portrety.  
Steve skrzywił się pogardliwie.
  - A co powiedziałyby pan na derby? - nalegała Fran.
  - Derby?
  - To jest wyścig białych myszek, a ludzie obstawiają wynik. Zwykle prowadził go pan Harvey, ale on w tym czasie będzie zajęty przy operacji plastycznej twarzy tej dziewczyny, która została tak ciężko ranna w wypadku samochodowym.
  - Czy sądzisz, że doktor Farrell zmieści się w kostium kłowna pana Harveya? - spytała Tess, patrząc na Bena z powątpiewaniem.
  - Kostium kłowna? - powtórzył Ben z przerażeniem.
  - To nie jest przymusowe - wyjaśniła Fran, rzucając Tess gniewne spojrzenie. - Większość z nas przebiera się, żeby uświetnić festyn, ale pan nie musi tego robić. Zatem czy mogę wpisać pana na derby?
  - Sam nie wiem - odparł bez przekonania. - Nie chciałbym popsuć zabawy...
  - Nie popsuje pan - zapewniła go Fran.
  - Jeśli naprawdę nie ma pan na to ochoty, możemy zamienić się na dyżury - zaproponował Steve z uśmiechem.
- Ben milczał przez chwilę, a Izzie modliła się w duchu, by się na to nie zgodził. Uważała, że powinien nawiązać bliższe kontakty z podwładnymi, zamiast odgradzać się od nich obronnym murem.

Jakby czytając w jej myślach, Ben nagle się uśmiechnął.

- Dobrze, spróbuję szczęścia z białymi myszkami.

- Wspaniale! - zawołała Fran radośnie, zapisując coś w swym notatniku. - Skoro już o tym mowa, ty, Izzie, masz w tym roku obsługiwać stoisko „białego słonia”, a ja herbarciarnię...

- No i? - spytała Izzie, przeczuwając coś złego.

- Czy mogłabyś się ze mną zamienić? Wiem, że proszę cię o dużą przysługę, ale Jim ma wolny dzień, a to stoisko zawsze szybko wszystko sprzedaje, więc mogłabym spędzić z nim trochę czasu.

- Ale...

- Proszę cię, Izzie. Ostatnio bardzo rzadko się widzimy, a jeśli ugrzęznę w tym namiocie herbacianym, to mogę w ogóle go nie zobaczyć. Tam zawsze panuje piekielny ruch.

Doskonale o tym wiem, pomyślała Izzie z westchnieniem. Pod koniec popołudnia będę tak wyczerpana, że wieczorne tańce nie sprawią mi żadnej przyjemności. Jednakże Fran spoglądała na nią tak błagalnym wzrokiem, że w końcu się zgodziła.

- Wspaniale! - zawołała Fran. - Jakoś ci się za to odwdzięczę.

- No dobrze, skoro wszystko zostało ustalone, możemy wracać do pracy - oznajmił Ben. - Steve i Izzie, Wy zajmiecie się Rachel Dalton. Jej matka trochę się o nią niepokoi. Fran pomoże mi przy pacjencie z bólami w klatce piersiowej, a Tess opatrzy ranę, którą już zszylem.

- Jezu, czy słyszałaś, co on powiedział, Izzie? - mruknął Steve, kiedy szli we dwoje korytarzem. - On maluje!

- I co z tego? - spytała obojętnie. - Wiele osób to robi.

- Ale ja nikogo takiego nie znam - oznajmił zaczepnie.

- Posłuchaj! To, że nie gra w rugby, nie świadczy jeszcze, że jest mięczakiem - odparła z irytacją. - Nie trzeba dwa razy

w tygodniu dawać się poniewierać na boisku, żeby udowodnić swoją męskość.

- Och, niepotrzebnie się denerwujesz.

Przygryzła wargi, zastanawiając się, dlaczego ciągle dochodzi między nimi do sprzeczek.

- Pewnie jestem po prostu przewrażliwiona - rzekła pani Dalton, gdy weszli do pokoju. - Rachel zawsze cieszyła się dobrym zdrowiem. Nigdy nie przechodziła chorób okresu dziecięcego, a kiedy...

- Co panią zaniepokoiło, pani Dalton? - przerwał jej Steve.

- Och, przepraszam. Już mówię... W poniedziałek skarżyła się na ból głowy, więc dałam jej aspirynę. Wydawało się, że poskutkowało, ale w nocy trochę wymiotowała. We wtorek, po powrocie z pracy, oświadczyła, że nie czuje się dobrze. Pomyślałam, że może się przeziębila, choć w taką pogodę...

- Czy zmierzyła jej pani temperaturę? - spytała Izzie.

- Tak. Była nieco podwyższona, więc położyłam ją do łóżka. A dzisiaj rano gorączka znacznie podskoczyła, a córka była jakby nieobecna... nieprzytomna.

Steve wyjął stetoskop.

- Rachel, proszę wziąć głęboki wdech - powiedział.

Dziewczyna zdawała się go nie słyszeć, a jej oddech był słaby i płytki.

- Tętno, siostrze?

- Czterdzieści. I spada.

- Ile Rachel ma lat? - spytał Steve, mierząc jej ciśnienie.

- Szesnaście. Właśnie w tym tygodniu podjęła pracę, którą...

- Czy nie zauważyła pani, że razi ją światło? - przerwał jej Steve. - Czy przypadkiem nie woli przebywać w ciemnym pokoju?

- Nie.

Kiedy Steve stwierdził, że ciśnienie krwi pacjentki jest niepokojąco niskie, spojrzął na Izzie, która od razu domyśliła się, że podejrzewa on zapalenie opon mózgowych. Nagle przypomniała sobie podobny przypadek, z którym miała do czynienia na początku swej kariery.

- Kiedy pani córka miała ostatnią miesiączkę? - spytała.

- Nie wiem. Może przed tygodniem... Ona ma szesnaście lat i już nie mówi mi o takich sprawach.

- Rozumiem - mruknęła Izzie, a Steve spojrzął na nią z zaniepokojeniem. - A może wie pani, czy Rachel używa podpasek higienicznych czy tamponów? To dość istotna informacja.

- Z całą pewnością używa tamponów.

- Czy mogę prosić siostrę o rozmowę? - powiedział Steve, a kiedy wyszli na korytarz, spytał półgłosem: - Co ty wyprawiasz? Przecież to jest klasyczny przypadek zapalenia opon.

- Nie jestem tego taka pewna - odparła szeptem. - To może być objawem wstrząsu septycznego.

- Myślisz, że zapomniała wyjąć tampon?

- Nie wiem. Mogę się mylić, ale objawy pasują.

- Problem polega na tym, że w takich przypadkach objawy nigdy nie są jednoznaczne - powiedział, marszcząc czoło, a po chwili dodał: - Dobrze. Poproś doktora Brownliè z ginekologii, żeby do nas przyszedł. Jeśli twoje podejrzenia są słuszne, to trzeba szybko interweniować, a...

- A jeśli jest to zapalenie opon, to również potrzebna jest natychmiastowa interwencja - dokończyła.

- Postawił pan trafną diagnozę, doktorze Melville - oznajmił doktor Brownlie po zbadaniu Rachel, którą od razu przewieziono na intensywną terapię. - Niełatwo rozpoznać wstrząs septyczny.

- Po prostu miałem szczęście - odparł Steve. - Początkowo podejrzewałem zapalenie opon mózgowych.

- Istotnie, objawy mogą być mylące. Prawdę mówiąc, niekiedy postawienie trafnej diagnozy bywa bardzo trudne.

- Czy ona z tego wyjdzie, doktorze? - spytała Izzie.

- Czekaj nas długa droga, zanim się z tym uporamy, ale dzięki właściwemu rozpoznaniu doktor Melville dał jej szansę walki z chorobą.

Izzie uśmiechnęła się pod nosem. Nie miała nic przeciwko temu, że zasługę przypisano Steve'owi. Doszła do wniosku, że pochwała z ust kogoś takiego jak doktor Brownlie może dodać mu wiary we własne siły przed egzaminami.

- Jestem ci winien przeprosiny - oświadczył Steve, kiedy zostali sami.

- Ależ nie. To był tylko szczęśliwy domysł i...

- Nie mówię o Rachel. Chcę cię przeprosić za moje okropne zachowanie w ostatnich dniach.

- Istotnie, nie byłeś tak pogodny jak zwykle.

- To przez te egzaminy, Izzie - rzekł z westchnieniem. - Wiem, że nie jest to żadne wytłumaczenie. Czy mi wybaczysz?

- Oczywiście. Chciałabym tylko, żebyś ty i Ben...

- Ben? - powtórzył, a kiedy spojrzał na nią chłodno, lekko się zaczerwieniła.

- Prosił mnie, żebym tak się do niego zwracała - wyjaśniła z zakłopotaniem. - Posłuchaj, wiem, że go nie lubisz, ale moim zdaniem on jest bardzo samotny.

- Więc niech kupi sobie psa.

- Steve, nie kłóćmy się o niego - powiedziała, z trudem powstrzymując się od ciętej odpowiedzi. - Nie znoszę toczyć z tobą sporów. Dotąd między nami do nich nie dochodziło.

- Bo dotąd nie byłem o ciebie zazdrosny.

- Teraz też nie musisz.

Spojrzał na nią badawczo, a potem pogłaskał ją po policzku.

- Problem polega na tym, że strasznie mi Ciebie brakuje. Dziś rano tak bardzo pragnąłem usłyszeć Twój głos, że do Ciebie zadzwoniłem, ale odpowiedziała mi automatyczna sekretarka.

- Robiłam zakupy.

- Telefonowałem w porze lunchu, i też Cię nie zastałem.

Rozsądek nakazywał jej powiedzieć mu, że była na lunchu z Benem. Wiedziała, że będzie gorzej, jeśli dowie się o tym od kogoś innego. Nie umiała jednak wyznać mu prawdy. Nie chciała prowokować kolejnej awantury, skoro zawarli pokój.

- Zjadłam coś w mieście - mruknęła.

Steve kiwnął głową, a potem westchnął.

- Chciałbym mieć te egzaminy za sobą. Kiedy już je zdam, to przez tydzień nie wypuszczę Cię z łóżka, żeby nadrobić stracony czas! - powiedział, delikatnie ją całując.

Ben, który przypadkiem był świadkiem tej sceny, zmarszczył czoło. Gdy tego popołudnia usuwał okruszki z jej ust, wiedział, że popełnia błąd. Wystarczył jeden dotyk, by poczuł przyspieszone bicie serca. Nawet teraz dziwnie reagował na to wspomnienie. Przecież po śmierci Caroline przyrzekł sobie, że już nigdy nie zwiąże się z kobietą. Poza rym Izzie nie jest wolna. Doszedł jednak do wniosku, że Steve nie jest godnym niej partnerem. Był przekonany, że ten człowiek ją zrani.

- To nie Twoja sprawa - mruknął pod nosem. - Ona nie powinna Cię obchodzić.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Spojrzała na bezchmurne, błękitne niebo. Zapowiadał się kolejny upalny dzień. Po prostu wymarzony dla ludzi, którzy zawsze tłumnie przybywali na sierpniowy festyn, organizowany co roku przez szpital w Kelso. Jednakże taka pogoda niezbyt sprzyjała tym, którzy mieli tkwić przez całe popołudnie w herbaciarni pod namiotem, podając gościom gorące napoje.

- Izzie, chodź tutaj! - zawołała Fran, machając do niej ze swego stoiska ze starociami.

- Mam z tobą na pieńku! - mruknęła Izzie, podchodząc do niej.

- Dlaczego? - spytała Fran z miną niewiniątka.

- Doskonale wiesz - odparła Izzie surowo. - Cała ta bezsensowna gadanina, że chcesz zamienić się ze mną po to, żebyś mogła spędzić więcej czasu z Jimem...

- Przysięgam, że mówiłam prawdę. Daję słowo, że nic nie wiedziałam o waszych tegorocznych strojach. Pan Wakefield wyskoczył z tym pomysłem dopiero przed trzema dniami.

- A więc jemu powinnam dziękować, tak? - wybuchnęła Izzie. - Niech tylko dostanę go w swoje ręce. Tak go urządzę, że przez tydzień nie będzie mógł usiąść!

Fran wybuchnęła śmiechem.

- Pokaż ten strój - zawołała, próbując rozpiąć jej płaszcz, lecz Izzie gwałtownie się od niej odwróciła. - Och, daj spokój, Izzie. W końcu i tak będziesz musiała go pokazać.

- W końcu nie oznacza wcale teraz - odparła Izzie stanowczo, a Fran ponownie się roześmiała.

- Jeśli szukasz doktora Farrella - zaczęła, widząc, że Izzie ciekawie rozgląda się wokół - to komitet organizacyjny festynu postanowił umieścić w tym roku derby obok namiotu.

- A kto powiedział, że go szukam?

- Nikt - odrzekła Fran. - Po prostu tak mi się wydawało.

Izzie zamierzała coś powiedzieć, ale zrezygnowała i odeszła.

Choć usilnie się rozglądała, nigdzie nie mogła dostrzec Bena.

Jedyną osobą kręcącą się po jego stoisku był jakiś bardzo wysoki osobnik, przebrany za kosmatą, białą mysz. Cóż to za idiota, pomyślała.

- Może imałaby pani ochotę spróbować szczęścia w naszej grze? - spytał piskliwie mysz olbrzym, podchodząc do niej.

- Dziękuję, może później - odburknęła.

- Wszystkie zebrane pieniądze pójdą na bardzo wzniosły cel, na nasz szpital - nalegał wielkolud.

- Wiem, bo tam pracuję - warknęła, a słysząc dziwnie znajomy śmiech, spojrzała na jego twarz. - Ben? To ty?

- We własnej osobie, siostrzo Clark - powiedział ze śmiechem, szarpiąc swe sztuczne wąsy.

- Ale wyglądasz...

- Wspaniale, cudownie, fantastycznie? - zasugerował.

- Po prostu przekomicznie - wyjąkała, dusząc się ze śmiechu.

- A ja sądziłem, że świetnie wcieliłem się w rolę - rzekł z nutką zawodu w głosie.

- Chyba zupełnie zwariowałeś - zawołała, kręcąc głową.

- Przecież przy takim upale roztopisz się w tym stroju.

- Nie jest aż tak tragicznie, bo nic nie mam pod spodem. A jak wygląda twój strój?

- Mam na sobie coś w rodzaju mundurka kelnerki.

- Jakiego mundurka? Izzie, skoro zobaczyłaś mnie w tym wariackim przebraniu, pozwól mi obejrzeć swoje.



- No dobrze - zgodziła się po chwili namysłu i powoli rozpięła płaszcz - ale lojalnie cię uprzedzam. Jeśli usłyszę choćby jedną złośliwą uwagę na mój temat, to przyrzekam, że już nigdy się do ciebie nie odezwę. Jasne? - dodała, zdejmując płaszcz.

- No i co o tym sądzisz?

Ben obrzucił wzrokiem jej ozdobiony falbankami biały fartuszek i niezwykle krótką, czarną sukienkę z głębokim dekoltem, ale nie wyraził opinii.

- No, powiedz coś - nalegała.

Ben odchrząknął.

- Na miły Bóg, Izzie, włóż płaszcz.

Prawdę mówiąc, ona również była przerażona, kiedy zobaczyła swe odbicie w lustrze, ale jego uwaga nagle ją rozdrażniła.

- Dlaczego? - spytała. - Co złego widzisz w moim stroju?

- Na miłość boską! Czyżbyś nie zdawała sobie sprawy z tego, że będąc tak ubrana, powinnaś mieć ochroniarza?

- Więc uważasz, że ładnie wyglądam, tak?

- Ładnie? Izzie, idź już do tego swojego namiotu, bo inaczej nie ręczę za siebie!

Wiedziała, że Ben chciał tylko być uprzejmy, ale jego słowa wyraźnie podniosły ją na duchu. Uśmiechnęła się szeroko i ruszyła w stronę kawiarenki z przekonaniem, że jest w stanie stawić czoło niemal wszystkiemu. Jednakże po dziesięciu minutach podawania gorących napoi nie była już tego tak bardzo pewna, a po upływie godziny doszła do wniosku, że z przyjemnością udusiłaby Freda Wakefielda.

- Coś ci powiem, Maureen - oznajmiła, stawiając przed nią tacę pełną brudnych naczyń. - Jeśli jeszcze raz któryś z tych dowcipnisiów uszczypnie mnie w tyłek, to dzbanek z kawą wylądje na jego kolanach!

- Wiem, jak się czujesz - odparła Maureen - ale musisz

przyznać, że ten pomysł przynosi spore zyski. Ruch jest jeszcze większy niż dotąd.

- Wcale mnie to nie dziwi - mruknęła Izzie. - Mężczyźni przychodzą tu tylko po to, żeby się do nas zalecać!

- Ale nie za darmo - odrzekła Maureen, chichocząc, a kiedy Izzie rzuciła jej gniewne spojrzenie, wybuchnęła śmiechem.

- Może zrobisz sobie przerwę? - powiedziała Maureen po pewnym czasie. - Teraz nie ma zbyt dużego ruchu.

- Czy jesteś pewna, że dasz sobie radę?

- No, idź już. Zasłużyłaś na to.

Izzie nie trzeba było powtarzać tego dwa razy. Kiedy wybiegła z namiotu, odruchowo spojrzała w kierunku stoiska myśich wyścigów i z przyjemnością stwierdziła, że Ben dobrze się bawi. Jednakże z pewnym niezadowoleniem dostrzegła stojącą obok niego Joannę, która wystrojona była w kostium typu safari z beżowego lnu.

- Na litość boską, Izzie, coś ty na siebie włożyła! - zawołała Joanna.

- Nie widzisz? Przecież to strój kelnerki.

- No cóż, podziwiam cię - oznajmiła Joanna. - Mało która dziewczyna nie przejmowałaby się swoim absurdalnym wyglądem.

I mało która dziewczyna byłaby taką wredną małpą jak ty, pomyślała Izzie, zamierzając odejść.

- Och, nie uciekaj stąd z mojego powodu - zawołała Joanna. - Teraz muszę już iść, ale zobaczymy się wieczorem, Ben.

- Wieczorem? - powtórzyła Izzie, odwracając się do Bena i unosząc pytająco brwi, gdy Joanna zniknęła w tłumie.

- Zamierza przyjść na wieczorne tańce? - wyjaśnił Ben, zdejmując maskę.

- Naprawdę? - spytała, starając się, by jej głos brzmiał obojętnie, a po chwili dodała z przekąsem: - Najwyraźniej jej ko-

stka wyzdrowiała w jakiś nadprzyrodzony sposób. - Widząc na twarzy Bena dziwny uśmiech, postanowiła zmienić temat. - Jak idą derby? - spytała.

- Wspaniale.

- Więc nie żałujesz, że bierzesz udział w festynie?

- Ani trochę.

Nie wiedząc, co by tu jeszcze powiedzieć, odwróciła się, zamierzając odejść.

- Czy masz teraz przerwę? - spytał Ben, a kiedy kiwnęła głową, skinął na Deborah Grant, która obsługiwała stoisko ze słodyczami. - Deborah, proszę popilnować przez chwilę moich myszek, dobrze? - zawołał i, nie czekając na jej zgodę, poprowadził Izzie przez tłum. - Na co masz ochotę? Na herbatę czy kawę?

- Chyba żartujesz. Tyle się na nie napatrzyłam, że starczy mi ich widoku do końca życia. Z chęcią zjadłabym lody.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem - odparł ze śmiechem. - Miałaś rację, twierdząc, że przyjdą tłumy, żeby wspomóc szpital - powiedział, kiedy usiedli w zacisznym zakątku. - Dostrzegłem tu nawet tę drobną staruszkę, która stale nawiedzała poczekalnię, ale na mój widok uciekła, zanim zdążyłem ją przeprosić.

Izzie wytarła lepkie od lodów palce i westchnęła.

- Niestety, Mavis z nikim i z niczym się nie liczy. Jeśli nie ma ochoty z kimś rozmawiać, to z nim nie rozmawia.

- Co o niej wiesz? - spytał z zaciekawieniem.

- Nic, i mam wrażenie, że jej to odpowiada.

- To interesująca postać.

- Ale nie tak interesująca jak Joanna Ogilvy, prawda? - mruknęła, zerkając na niego z ukosa.

- Próbujesz mnie sprowokować.

- Przepraszam - wyszeptała, a potem cicho zaklęła, kiedy niesforne pasmo włosów opadło jej na plecy.

## Z POTRZEBY SERCA

- Chwileczkę, ja to zrobię - zaproponował.

Posłusznie podała mu spinkę.

- Żeby rozproszyć twoje obawy, powiem ci tylko, że nie zamierzam się żenić - oznajmił, upinając jej włosy.

Kiedy dotknął palcami jej szyi, nagle zadrżała.

- Czyżbym sprawił ci ból? - spytał z niepokojem.

- Masz po prostu zimne dłonie - skłamała. - Wiesz, że zimne dłonie podobno oznaczają...

- Gorące serce - dokończył.

Znowu powtarza się to samo, pomyślała z przerażeniem. Ale tym razem poczuła nie tylko przyspieszone bicie serca, lecz również dziwne łaskotanie w żołądku. Muszę z tym skończyć, bo w przeciwnym razie wyląduję na oddziale psychiatrycznym.

- Powinna już wracać do namiotu - oznajmiła. - Maureen pewnie podejrzewa, że porzuciłam ją na dobre, a jest nas tam tylko sześć do obsługi gości i...

- Izzie - powiedział cicho, kładąc dłonie na jej ramionach.

- Tak? - spytała słabym głosem.

- Popatrz na mnie.

Wbrew woli uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Ben...

Bez słowa uniósł jej podbródek i pocałował ją w usta. Nigdy dotąd nikt nie całował jej tak delikatnie jak on...

- Och, wiedziałam, że to pani!

Na dźwięk kobiecego głosu gwałtownie od siebie odskoczyli.

- Pani Dalton - wyjąkała Izzie, pąsowiejąc z zażenowania.

- Miło mi... znów panią widzieć.

- Panią również, sestro! - zawołała pani Dalton, kiwając głową do Bena. - Miałam nadzieję, że spotkam jeszcze kiedyś tego miłego, młodego lekarza, który zajął się moją Rachel. Już

ją przeniesiono z intensywnej terapii, a ja chciałam mu podziękować za wszystko, co dla nas zrobił.

- Niestety, doktora Melville'a tu nie ma - wyjaśniła Izzie, odzyskując panowanie nad sobą - ale na pewno przekażę mu pani podziękowania.

- Będę pani za to wdzięczna, siostró, choć jak sobie przypominam, to pani pierwsza spytała o miesięczki i o tampony...

- Naprawdę miło znów panią widzieć, pani Dalton - przerwała jej Izzie. - Mam nadzieję, że dobrze się pani bawi na festynie.

- Owszem, zwłaszcza że wiem, że Rachel zdrowieje - oznajmiła promiennie. - Jeszcze raz pani dziękuję, siostró.

Izzie zagryzła wargi, patrząc na oddalającą się kobietę. Wiedziała, że Ben pochwalił Steve'a za postawienie trafnej diagnozy i teraz będzie wściekły za wprowadzenie go w błąd. Czekwała na jego wybuch, ale nic takiego nie nastąpiło. Zerknęła na niego niepewnie.

- Izzie, popełniłem błąd - mruknął w końcu z zakłopotaniem.

Doskonale wiedziała, że nie ma na myśli Steve'a. Musiała przyznać, że ich pocałunek istotnie był błędem. Przecież ona i Ben zupełnie do siebie nie pasowali.

- Nie musisz przeproszać, Ben - powiedziała, siląc się na uśmiech. - Jesteśmy przyjaciółmi i nie stało się nic złego.

Słyszac ostry dźwięk pagera, Ben zerwał się na równe nogi.

- Pewnie mają kłopoty - oznajmił. - Czy możesz przekazać Deborah, że nie wiem kiedy... ani czy w ogóle wrócę?

- Musimy znaleźć kogoś innego, kto jej to powie - odparła stanowczo. - Idę z tobą.

- Ale...

- Nie ma lepszej wymówki, żeby uciec z tego namiotu.

## Z POTRZEBY SERCA

Sensacja, jaką wywołała swym strojem na festynie, była niczym w porównaniu z reakcją sanitariuszy.

- Hej, Izzie, możesz mierzyć mi tętno, kiedy tylko zechcesz, ale pod warunkiem, że będziesz tak ubrana jak teraz!

- Ojej, siostró, słabo mi... chyba wymagam sztucznego oddychania usta-usta...

- Wystarczy tych żartów - zawołał Ben, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu. - Czy nigdy nie widzieliście kelnerki?

- Owszem, ale nie widzieliśmy tak dużo kelnerki! Niech pan będzie ostrożny, doktorze!

- Ostrzegałem cię, prawda? - mruknął Ben. - Powiedz Steve'owi, że zaraz tam będę. Muszę tylko skoczyć po fartuch.

Kiedy weszła do izby przejęć, Steve szeroko otworzył oczy.

- Na Boga, Izzie! - zawołał. - Chyba nie paradowałaś w tym stroju przez całe popołudnie?

- A jeśli nawet, to co?

- Dla zabawy zrobiłabyś wszystko, co, dziecinko?

- Dla zabawy? - powtórzyła, czując, że jest bliska łez.

Czyżby ludzie śmiali się z niej przez całe popołudnie? Czyżby Ben bawił się jej kosztem?

- No dobrze, co mamy? - spytał Ben, wchodząc do pokoju.

- Nastolatkę, która przedawkowała lek, męczyznę, który obciął sobie piłą trzy palce u nogi, kobietę z podejrzeniem perforacji wyrostka, pijaka z delirium tremens, a rolnik i jego syn z licznymi obrażeniami ciała sążn w drodze.

- Czy pacjent z delirium ma drgawki? - spytał Ben.

- Jedyne dreszcze i halucynacje.

- Załatw mu łóżko na oddziale piątym.

- To im się nie spodoba.

- Nie szkodzi. Na jakiej podstawie podejrzewasz, że ta kobieta ma perforację wyrostka?

- Ostry ból, występujący w dolnej, prawej stronie brzucha

podobno ustąpił, ale pacjentka ma podwyższoną temperaturę, a jej żołądek jest dość wrażliwy na ucisk.

- Zawiadom salę operacyjną, że chora zaraz tam będzie. A co z tym pacjentem od piły? Czy mamy jego obcięte palce?

- Dostarczyła je jego żona. Obłożyła je lodem z zamrażarki, który zawinęła w poszewkę, więc nie ma zagrożenia odmrożeń.

- Wspaniale. Skontaktuj się z Edem Harveyem i przekaż mu, że potrzebujemy konsultacji. Zostaje więc nam rolnik z synem i zatruta nastolatka. Czy wiadomo, co łyknęła?

- Paracetamol - odparł Steve. - Godzinę temu, więc tabletki nadal powinny być w jej żołądku.

- Czy coś wiadomo o obrażeniach rolnika i jego syna?

- Podobno ojciec ma złamaną nogę i zmiażdżone żebra, a u syna podejrzewają krwotok wewnętrzny. Kiedy ich traktor się przewrócił, uwięźli w kabinie.

- Ile lat ma syn?

- Trzy.

- Trzy? - zawołał Ben, z trudem łapiąc oddech. - Co, do diabła, dziecko w tym wieku tam robiło?

- Niestety, w tych stronach to dość powszechna praktyka - odparł Steve. - Ojcowie uważają, że ich synowie powinni poznać przedsmak gospodarowania już we wczesnym dzieciństwie.

- Przecież takie postępowanie może skończyć się tragicznie - mruknął Ben pośpiesznie. - Czy zawiadomiłeś pediatrę?

- Myślałem, że zechce pan najpierw zbadać to dziecko.

- No cóż, w przyszłości bądź łaskaw nie myśleć - mruknął Ben ze złością. - Powinieneś być bezzwłocznie ich zawiadomić. Zrób to natychmiast, zamiast marnować cenny czas!

Steve spurpurowiał i wyszedł.

- Czy mogę w czymś pomóc? - spytała Izzie chłodno.

- Możesz pomóc siostrze Jenkins przy płukaniu żołądka tej zatrutej nastolatki.

- Dobrze - odparła jeszcze bardziej oschłym tonem i ruszyła pospiesznie w kierunku drzwi.

- Izzie, przepraszam - mruknął Ben, chwytając ją za ramię.

- Nie chciałem, żeby zabrzmiało to tak obcesowo...

- To nie mnie należą się twoje przeprosiny.

- Izzie, on powinien wiedzieć, że trzeba zawiadomić pediatrę. Na litość boską, przecież jest wykwalifikowanym lekarzem, a nie studentem drugiego roku medycyny!

Choć doskonale wiedziała, że Ben ma rację, nie zamierzała mu jej przyznać i bez słowa wyszła z pokoju.

Po skończonym płukaniu żołądka Izzie opuściła Jenny, zdając sobie sprawę z tego, że dopiero po upływie co najmniej pięciu dni okaże się, czy pacjentka ma trwale uszkodzoną wątrobę.

- Wyglądasz na wyczerpaną.

- Ty również - odparła, spoglądając na Bena, który siedział na szpitalnym wózku w poplamionym krwią kostiumie myszy.

- Jak rolnik i jego syn?

- Straciliśmy dziecko.

- Och, Ben, tak mi przykro...

- Dochodzi piąta - przerwał jej, najwyraźniej nie chcąc rozmawiać na ten temat. - Chyba nie warto już wracać na festyn, prawda?

Izzie potrząsnęła głową.

- Zatem pora udać się do domu - oznajmił, a potem poprowadził ją w kierunku wyjścia ze szpitala.

- Czy dalej gniewasz się na mnie za to, co powiedziałem Steve'owi? - spytał, kiedy znaleźli się już na parkingu.

Wzięła głęboki oddech, zbierając się na odwagę, by spojrzeć mu prosto w oczy.



- Ben, czy uważasz... że w tym stroju wyglądam głupio?
- Głupio? - powtórzył, gwałtownie przystając.
- Idiotycznie, absurdalnie?
- Chodzi ci o to, co powiedziała Joanna, tak? Och, Izzie...
- Chcę usłyszeć od ciebie prawdę - przerwała mu pośpiesznie. - Czy kiedy na mnie patrzysz, to... masz ochotę się śmiać?
- Śmiać? - zawołał. - To ostatnia rzecz, która przyszyłaby mi do głowy.
- Mówisz poważnie? Nie wyglądam jak... ?
- Izzie, wyglądasz wspaniale.
- Dziękuję - wyszeptła, czując napływające do oczu łzy.
- Nieważne, czy kłamiesz, czy też nie. Dziękuję.
- Ben przez chwilę spoglądał na nią w milczeniu, a potem potrząsnął głową.
- Dlaczego masz tak mało pewności siebie?
- Chyba z powodu mojego wyglądu.
- A co w nim złego? - spytał.
- To, że jestem za wysoka, Ben - wyznała ze smutkiem.
- Kiedy dorastałam, musiałam ciągle znosić uwagi typu: „Czy tam, na górze, jest zimno?” albo „Czy zawsze musisz schylać głowę, kiedy przechodzisz przez drzwi?” Zbываłam je śmiechem, ale to bolało. Na domiar złego nie można powiedzieć, że bym miała smukłą sylwetkę.
- Moim zdaniem, jesteś zbudowana bardzo proporcjonalnie.
- Naprawdę?
- Naprawdę - przytaknął z uśmiechem.
- To chyba najmiłszy komplement, jaki kiedykolwiek usłyszałam pod swoim adresem.
- Izzie...
- Choć, żeby być sprawiedliwą, muszę przyznać, że Steve prawi mi niekiedy dość miłe komplementy.

- Doprawdy? - spytał, nagle poważniejąc.

Czuła, że go zirytowała, choć nie wiedziała dlaczego.

- Ben... - zaczęła, dotykając jego ramienia.

- Muszę już jechać - przerwał jej obcesowo. - Do jutra.

Kiwnęła głową, ale kiedy ruszył w stronę swego samochodu, doznała nagłego olśnienia.

- Do jutra? - zawołała. - Przecież spotkamy się jeszcze dziś na tańcach.

- Zamierzam je sobie darować.

- Nie możesz tego zrobić! - zaprotestowała, a kiedy na nią spojrzął, spaśnowiała. - Chodzi mi o Joannę... Na pewno będzie bardzo zawiedziona.

- Myślę, że jakoś to przeżyje - odrzekł chłodno.

- Proszę cię, przyjdź - nalegała. - Potraktuj to jako formę terapii zajęciowej, wyjście z domu, poznawanie nowych ludzi.

Ben milczał przez dłuższą chwilę, a potem westchnął.

- Zgoda, ale sprzedam cię, że nie tańczę dobrze.

Kłamca, pomyślała, obserwując Bena, który wirował na parkiecie z kolejną partnerką. Był po prostu urodzonym tancerzem. Zatańczył już chyba z każdą kobietą, nawet z kucharką pracującą w ich szpitalu, ale do tej pory nie poprosił Izzie. I nic nie zapowiadało, że to nastąpi. Przez cały wieczór nawet nie spojrzął w jej kierunku, a teraz już po raz trzeci tańczył z Joanną, która była ubrana w suknię z seledynowego jedwabiu z obcisłym, ozdobionym paciorkami stanikiem, cieniutkimi ramiączkami i cudownie falującą spódnicą.

- Dobrze się bawisz? - spytała Fran, siadając obok Izzie.

- Cudownie - odparła, siląc się na pogodny ton.

I powinna była dobrze się bawić, bo przez cały wieczór nie brakowało jej partnerów do tańca, ale...

- Czy Steve jeszcze się nie zjawił? - spytała Fran.

- Miał dyżur do dziewiątej - odrzekła Izzie, cicho wzdychając. - Wiesz, jaki on jest... Pewnie się z kimś zagadał.

Fran zerknęła na zegarek. Było wpół do dwunastej.

- Czy ta dziewczyna, z którą rozmawia doktor Farrell, nie jest przypadkiem tą, która...

- Narobiła tyle zamieszania w szpitalu? - dokończyła Izzie.

- Owszem, to ona.

- Być może jest nieznośna, ale ma przepiękną suknię - rzekła Fran z zazdrością. - Musiała kosztować fortunę.

Zgadłaś, pomyślała Izzie, której wysoka cena tej właśnie sukni nie powstrzymała od ponownego udania się do sklepu poprzedniego wieczoru z zamiarem jej kupna. Okazało się jednak, że została już sprzedana. Spojrzała posępnie na swą niebieską, atłasową sukienkę z dekoltem w kształcie serca, którą wkładała na każdą zabawę organizowaną przez szpital.

- Och, popatrz! - zawołała Fran. - Doktor Farrell idzie w naszym kierunku. Może chce poprosić cię do tańca?

- Nic mnie to nie obchodzi - odparła Izzie obojętnym tonem.

Jednakże Ben nie poprosił jej do tańca, tylko usiadł obok nich i pogodnie się uśmiechnął.

- Nie miałam pojęcia, że jest pan takim zapalonym tancerzem, doktorze Farrell - oznajmiła Fran.

- Ależ skąd - odrzekł. - Po prostu moja terapeutka doradziła mi wysiłek fizyczny, więc jej posłuchałem.

- Pańska terapeutka? - powtórzyła Fran.

- Tak. Ona ma wielki dar przekonywania.

Gdy Izzie wybuchnęła śmiechem, Fran spojrzała na nią bawdawco, a potem odchrząknęła.

- Izzie jest świetną tancerką - oświadczyła. - Prawdę mówiąc - ciągnęła, zręcznie unikając wycelowanego w jej nogę kopniaka - orkiestra zaczęła właśnie grać jej ulubionego walca.

Ben niechętnie wstał i poprowadził Izzie na parkiet. Od razu wiedziała, że to będzie istny koszmar. Gdzie podział się ten roześmiany mężczyzna, który, wirując po parkiecie ze swymi partnerkami, sprawiał wrażenie, jakby z każdą świetnie się bawił? Gdzie podział się ten mężczyzna, który tego popołudnia złożył na jej ustach delikatny pocałunek? Podczas tańca nawet na nią nie spojrzął, i trzymał ją jak najdalej od siebie.

- Ben, czy coś się stało? - spytała w końcu.
- Nie.
- Czy jesteś na mnie zły? Czy powiedziałam coś...?
- Izzie, nic złego się nie stało!

Przestali tańczyć. Izzie zdawała sobie sprawę z tego, że ludzie ciekawie im się przyglądają, ale nie zwracała na to uwagi. Widziała tylko wyostrome rysy twarzy Bena.

- Nieprawda - powiedziała. - Sądziłam, że jesteśmy przyjaciółmi, a dziś wieczorem... Ben, uwierz mi, że jeśli czymś cię uraziłam, to nie zrobiłam tego celowo.

- Izzie, to nie twoja wina.
- Więc o co chodzi?
- Izzie... - Wyciągnął rękę i delikatnie dotknął palcami jej policzka. - Izabello, chodzi o mnie.

- O ciebie? - wyszeptła. - Przepraszam, ale nie rozumiem.

- I chcę, żeby tak zostało. Ben podniósł wzrok i nagle zeszywniał. - Przyszedł Steve - oświadczył.

Izzie nawet się nie obejrzała.

- Ben, proszę...
- Fran miała rację, wspaniale tańczysz - powiedział, a potem gwałtownie się odwrócił i odszedł.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Co pani dolega, pani Lawson? - spytał Ben tęą kobietę w średnim wieku.

- Chodzi o moją kostkę, doktorze - odparła donośnym głosem. - Skręciłam ją sobie dwa dni temu i jak pan widzi...

- Jest bardzo spuchnięta.

- Chciałam poczekać z tym do powrotu na południe, ale mój mąż nalegał, żebym...

- Od jak dawna ma pani ten ślad? - przerwał Ben, wskazując małe zaczerwienienie na jej łydce.

- Od jakichś dwóch tygodni, może od miesiąca. Jak już mówiłam, nie zawracałabym panu głowy, gdyby mój mąż...

- Czy ostatnio miała pani jakieś objawy grypowe?

- Prawdę mówiąc, owszem, ale...

- Czy może pani rozpiąć bluzkę?

- Bluzkę? - powtórzyła. - Przecież przyszłam tu w sprawie...

- Niech pani rozepnie bluzkę, pani Lawson.

Pacjentka spojrzała na Izzie błagalnym wzrokiem, ale widząc, że ona nie może jej pomóc, westchnęła i wykonała polecenie.

- Czy ostatnio odczuwała pani jakieś bóle w stawach? - spytał Ben, osłuchując jej klatkę piersiową.

- Nie. Bolała mnie tylko ta kostka.

- W pani klatce piersiowej nie słyszę żadnych niepokoją-

cych szmerów, a rytm serca nie budzi zastrzeżeń. Jednakże chciałbym pobrać próbkę pani krwi...

- Wykluczone - przerwała mu pani Lawson opryskliwe, zapinając bluzkę. - Przyszłam tu w sprawie kostki, doktorze, a nie po to, żeby osłuchiwał pan moje serce czy pobierał krew.

- Pani Lawson, zajmiemy się pani kostką, ale moim zdaniem, została pani ukąszona przez kleszcza.

- Ludzie stale są kąsani przez kleszcze - odparła.

- Niestety, ten rodzaj kleszcza jest nieco inny - wyjaśnił Ben. - Przenoszą one groźną chorobę, a to czerwone kółko na pani nodze jest jednym z klasycznych symptomów, podobnie jak i objawy grypowe. Powtarzam, trzeba zbadać pani krew.

- Czy ta choroba jest poważna? - spytała pani Lawson po chwili milczenia.

- Sądzę, że została w porę wykryta i można ją wyleczyć antybiotykami.

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie, doktorze - nalegała pani Lawson. - Co mogłoby się stać, gdyby mój mąż nie namówił mnie do przyścia tutaj?

- Konsekwencje istotnie mogłyby być bardzo poważne - odparł Ben. - Ta choroba, nie leczona, mogłaby wywołać zapalenie stawów, a ostatecznie zaburzenia sercowe i neurologiczne.

- I to wszystko z powodu jednego małego kleszcza? - mruknęła, z niedowierzaniem potrząsając głową.

- W przyszłości radzę pani chodzić do lasu w spodniach - powiedział Ben, biorąc od Izzie strzykawkę. - I dla pewności zawiązywać dół nogawek ciasno wokół kostek.

- Zapewniam pana, że będę tak robić.

Kiedy Ben pobrał próbkę krwi, Izzie odesłała ją do laboratorium z prośbą o natychmiastowe zbadanie.

- Jak, na miły Bóg, on to rozpoznał? - spytała Fran nieco

później, kiedy diagnoza Bena została potwierdzona. - Dotychczas widziałam tylko jeden taki przypadek.

- Naprawdę? - mruknęła Izzie, uważnie obserwując Bena, który rozmawiał z Tess.

Fran podążyła za jej spojrzeniem, a potem odchrząknęła.

- Izzie, nie chciałabym być wścibska, ale czy ty dobrze się czujesz? - spytała.

- Ależ naturalnie - odparła Izzie ze zdziwieniem.

- Więc jak to się dzieje, że w jednej chwili jesteś wesoła jak skowronek, a zaraz potem wpadasz nagle w depresję?

Izzie musiała przyznać jej rację. Istotnie, od sierpniowego festynu była w ponurym humorze, choć sama nie wiedziała dlaczego.

- Zastanawiam się, czy twój zmienny nastrój nie ma związku z doktorem Farrellem - powiedziała Fran.

- Z nim? - spytała Izzie, czując z niepokojem, że się czerwieni. - Dlaczego?

- No cóż, słyszałam, że ostatnio dość często spotyka się z Joanną Ogilvy.

- I co z tego? - warknęła Izzie. - Ma prawo. Na miłość boską, Fran, można by pomyśleć, że ja się nim interesuję. On jest moim szefem i na tym koniec. Nie zapominaj, że mam Steve'a.

- Jesteś pewna? - spytała Fran, patrząc na nią z zadumą.

- Oczywiście - odrzekła Izzie. - Jaka dziewczyna przy zdrowych zmysłach by się w nim nie zakochała? Jest przystojny, czarujący, i dobry z niego kompan...

- Kiedy chce - mruknęła Fran, ale Izzie dosłyszała jej słowa.

- Co to ma znaczyć? - spytała z gniewem.

- Nic, absolutnie nic - odrzekła Fran. - Zapomnij, że w ogóle cokolwiek powiedziałam. To nie moja sprawa.

- Masz zupełną rację! - oświadczyła Izzie z irytacją, a Fran spojrzała na nią pełnym urazy wzrokiem i odeszła.

Może ostatnio zbyt często spieraliśmy się ze Steve'em, pomyślała Izzie, ale żeby Fran insynuowała, że jestem zainteresowana Benem... Więc nie obchodzi cię, że on spotyka się z Joanną? - spytał wewnętrzny głos. Obchodzi, bo nie jestem w stanie pojąć, jak taki inteligentny człowiek może mieć tak fatalny gust.

Ze złością wzięła pudło z materiałami opatrunkowymi i ruszyła w stronę izby przyjęć. Nic dziwnego, że przez cały czas była rozdrażniona. Mężczyzna, którego kochała, nieustannie się złościł. Natomiast mężczyzna, którego coraz bardziej lubiła i szanowała, sam narażał się na zranienie.

- Na litość boską, Izzie, ostatnio jesteś ponura jak chmura gradowa - powiedział Steve, kiedy skończyli jeść lunch, podczas którego niewiele rozmawiali. - Co się z tobą dzieje?

- Po prostu mam kiepski nastrój - odparła.

- Co takiego?! - wybuchnął. - Kochanie, jeśli ktokolwiek ma prawo mieć kiepski nastrój, to chyba ja. To ja zdaję egzaminy w najbliższy weekend. To ja od sześciu tygodni pracuję całymi dniami, a w nocy ślęczę nad książkami.

- Przepraszam, że narzekam - odparła ostrym tonem. - Nie wiedziałam, że masz monopol na marne samopoczucie. Nie wiedziałam, że tylko tobie wolno czuć się...

- No dobrze, już dobrze - przerwał jej, podnosząc ręce w geście samoobrony. - Przekonałaś mnie. Dajmy już temu spokój.

Co się ze mną dzieje? - rozmyślała Izzie, wchodząc za nim do izby przyjęć. Dlaczego czuję się taka nieszczęśliwa? Przecież mam wszystko, czego pragnę - przystojnego mężczyznę, który mnie kocha, dobrą pracę, wspaniałych kolegów - więc skąd to podłe samopoczucie?



- Masz coś dla nas, Tess? - spytał Steve.

- Pan Gardner skarży się na silny ból głowy.

Na widok pacjenta twarz Steve'a rozjaśnił uśmiech radości.

- Pan Donald Gardner? Gwiazda naszych rugbistów?

Młody mężczyzna lekko kiwnął głową.

- Sam też trochę grałem na studiach - ciągnął Steve. - No, nie należałem do zawodników pańskiej klasy i grałem na skrzydle, ale moim zdaniem byłem całkiem dobry. Co panu dolega?

- Mam okropny ból głowy.

- Czy grał pan wczoraj? - spytał Steve, osłuchując jego klatkę piersiową.

- Tak, po południu, z Melrose.

- Czy otrzymał pan cios w głowę? - spytał Steve, świecąc oftalmoskopem w oczy Donalda.

- Chyba nie. Prawdę mówiąc, doktorze, niewiele pamiętam z wczorajszego dnia, poza tym że wygraliśmy.

- Więc świętowaliście zwycięstwo, tak? Coś mi się zdaje, że ma pan po prostu gigantycznego kaca. Proszę zażyć dwie aspiryny i porządnie się wyspać. To powinno pomóc - oznajmił i wyszedł.

- Czy ktoś czeka na pana w rejestracji, panie Gardner? - spytała Izzie z niepokojem, widząc, że pacjent z trudem wstaje.

- Czy ktoś na mnie czeka? - powtórzył automatycznie.

- Jak pan tu dotarł? Czy ktoś pana przywiózł?

- Sądzę... - Uśmiechnął się i pokręcił głową. - Na miłość boską, gdzie ja mam rozum, siostrzo? Przecież przywiozła mnie tu moja żona.

Izzie chwyciła jego nadgarstek, by zbadać tętno.

- Czy czuje się pan senny, panie Gardner? - spytała.

- Trochę, ale w nocy niewiele spałem. Ten ból głowy...

- Czy ma pan drętwienie kończyn?

- Szczerze mówiąc, wcale ich nie czuję.
- Proszę tu chwilę zaczekać.
- Zaczekać? - powtórzył. - Ale doktor powiedział...
- Zaraz wrócę - odparła, uśmiechając się uspokajająco i pośpiesznie wyszła.

Steve wysłuchał jej obaw w milczeniu, a potem potrząsnął głową.

- Izzie, przecież wiesz, co to jest rugby. To bezlitosna, twar-  
da gra, a zawodnicy ostro piją. On musi po prostu na jakiś czas  
odstawić alkohol i porządnie się wyspać.

- Nie sądzisz, że powinienes skierować go na prześwie-  
tlenie?

- Kto tu jest lekarzem, ty czy ja?
- Ale...
- Daj spokój, Izzie. Odeślij go do domu.

Otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, a potem mocno za-  
cisnęła wargi. W końcu, jak sam stwierdził, on był lekarzem,  
a nie ona, więc nie miała prawa kwestionować jego diagnozy.  
Powoli ruszyła w stronę izby przyjęć. Dzień układał jej się na-  
prawdę fatalnie, a do końca dyżuru miała jeszcze cztery godziny.

- Czy coś cię niepokoi, Izzie? - spytał Ben, kiedy mijała go  
w milczeniu.

- Nie, nic - zaczęła i urwała. A jeśli Gardnerowi dolega coś  
naprawdę poważnego? Widząc, że Ben patrzy na nią zachęca-  
jąco, wzięła głęboki oddech. - Chodzi o pacjenta. Steve uważa,  
że ma zwykłego kaca, ale...

- Ale?

Poczuła, że się czerwieni. Wiedziała, że musi to zrobić teraz  
albo nigdy.

- Czy mógłbyś na niego zerknąć? - spytała.

Ben milczał przez chwilę, a ona pomyślała, że zamierza od-  
mówić. Potem odwrócił się i ruszył w stronę izby przyjęć.

- Tess, co ty robisz? - spytała Izzie na widok stażystki, która niosła jakieś materiały opatrunkowe.

- Steve skończył właśnie zszywać rękę tej dziewczyny ze sklepu mięsnego i mam ją zabandażować.

- Ja to zrobię. Ty pomóż doktorowi Farrellowi, który będzie badał Donalda Gardniera.

- Przecież Steve już... - zaczęła Tess ze zdziwieniem.

- Zrób to, Tess - poleciła Izzie stanowczo.

Stażystka przez chwilę patrzyła na nią z ciekawością, a kiedy odeszła, Izzie odetchnęła z ulgą. Nie chciała być świadkiem przeprowadzanych przez Bena oględzin chorego, zdając sobie sprawę, że nie postąpiła lojalnie wobec Steve'a, prosząc Bena o konsultację. Obym nie miała racji, modliła się w duchu. Wolę wyjść na głupią i przesadnie ostrożną.

Bena spotkała dopiero po upływie godziny.

- Miałaś słuszne obawy - rzekł półgłosem. - Wysłałem Gardniera na tomografię komputerową, ale moim zdaniem on ma krwiaka nadoponowego.

Izzie kiwnęła głową. Jeśli w wyniku uderzenia w skroń nastąpiło pęknięcie czaszki, mogło dojść do uszkodzenia tętnicy biegnącej przez oponę twardą, wywołując krwiaka. W takim przypadku pacjent mógł stracić na chwilę przytomność, a potem pozornie ją odzyskać. Jednakże przez cały ten czas w mózgu mógł tworzyć się krwiak, który przy braku natychmiastowej interwencji groził śpiączką, a potem śmiercią.

- Co obudziło twoje podejrzenia? - spytał Ben.

- Sama nie wiem. Chyba to, że wydawał się taki rozkojarzony. W dodatku powiedział, że czuje się senny...

- Jeśli to krwiak nadoponowy, to trzeba będzie poddać go trepanacji czaszki.

Wiedziała, że jest to bardzo skomplikowana i ryzykowna operacja. Polegała ona na nawierceniu w czaszce otworów

w celu usunięcia krwiaka, ale gdyby Donald Gardner nie zgłosił się teraz...

- Zbyt wiele osób uważa uderzenie w głowę za ogólnie przyjęte ryzyko związane z niektórymi dziedzinami sportu - o-  
znajmił Ben, jakby czytając w jej myślach. - Na szczęście, zgło-  
sił się do nas i na szczęście zaniepokoił cię tego stan.

- Czy on wyzdrowieje?

- Myślę, że tak - odrzekł z uśmiechem, który natychmiast  
zniknął, kiedy dobiegł do nich wybuch śmiechu Steve'a.

Izzie jęknęła w duchu, bo Steve nie mógł wybrać sobie gor-  
szego momentu na zabawianie sanitariusza żartami.

- Ben...

- Nie, Izzie - przerwał jej ostro.

- Nawet nie wiesz, co zamierzałam powiedzieć.

- Nietrudno zgadnąć.

- Nie wiedziałam, że tak łatwo mnie rozszyfrować.

- To nie to. Jesteś po prostu przesadnie lojalna.

- Ben...

- Kogo tam mamy, Fran? - spytał Ben.

- Panią Anderson. Upadła w ogrodzie i skarży się na dotkli-  
wy ból ręki.

Ben skinął na Izzie i razem weszli do pokoju.

- Och, panie doktorze, tak mi głupio! - zawołała pacjentka  
na jego widok. - Wieształam pranie i o coś się potknęłam.

Ben delikatnie dotknął jej obojczyka, a potem przesunął pal-  
cami wzdłuż lewego ramienia.

- Czy bardzo panią boli? - spytał.

- Można to tak określić - odrzekła. - Mam już dwoje dzieci  
i wolałabym urodzić trzecie, niż tak cierpieć jak teraz.

- Zaraz podamy pani środek przeciwbólowy - powiedział  
Ben ze współczuciem - ale najpierw niech pani jak najmocniej  
ściśnie moją dłoń, dobrze?

Pani Anderson wykonała jego polecenie.

- Mój lekarz uważa, że wybiłam sobie bark. Liczę na to, że ma rację - wyszeptwała, patrząc na Bena z niepokojem. - Niebawem mają odwiedzić mnie wnuki i gdyby to było złamanie...

- To bardzo skomplikowałoby pani życie - dokończył. - Przykro mi, ale podejrzewam złamanie, pani Anderson.

- Czy dlatego mam takie dziwne uczucie, jakby wszystko się tam kręciło w kółko?

Ben kiwnął potakująco głową.

- Pani mózg otrzymuje sprzeczne sygnały. Kiedy pani każe rękę coś zrobić, ona próbuje wykonać coś zupełnie innego. Dam pani środek na złagodzenie bólu, a potem siostra Clark zabierze panią na prześwietlenie.

- Czy nie sądzisz, że lepiej będzie, jeśli załatwi to Tess? - spytała Izzie, kiedy wyszli z pokoju. - Wiesz, jakie tam są kolejki, a jeśli okaże się, że pani Anderson istotnie ma złamaną rękę, spędzę całe wieki, czekając, aż założą jej gips. Gdyby w tym czasie przywieziono jakiś nagły...

- Damy sobie radę - przerwał jej Ben. - Chcę, żebyś ty z nią poszła. Wydaje mi się trochę roztrzęsiona.

Miał rację, ale Izzie nękało dziwne uczucie, że celowo próbuje się jej pozbyć.

- Ale, Ben.

- Już cię tu nie ma. Im prędzej tam pójdziecie, tym szybciej wrócisz.

- Jaką kość mam złamaną zdaniem tego miłego, młodego człowieka, który robił mi prześwietlenie? - spytała pani Anderson, kiedy Izzie wiozła ją z powrotem do izby przyjęć.

- Kość ramienną.

- No cóż, mogę tylko powiedzieć, że nie jest to dla mnie

zbyt miła wiadomość - oznajmiła kobieta, zerkając posępnie na świeżo założony gips:

- Dobrze to rozumiem. Kość ta biegnie od ramienia aż do łokcia. Na szczęście, powinna szybko się zrosnąć.

- Więc jednak postawiłem trafną diagnozę - oświadczył Ben, podchodząc do nich.

- Lepiej by było, gdybym mogła opowiadać ludziom, że doszło do tego podczas skoku na spadochronie, a nie przy wieszaniu prania.

- Nie uwierzyłyby pani, do ilu wypadków dochodzi w domu i w jego pobliżu - oznajmił Ben. - Zdarzają się one znacznie częściej niż przy okazji uprawiania niebezpiecznych sportów - ciągnął, wyjmując z kieszeni dwie buteleczki. - W razie bólu należy brać jedną kapsułkę parakodiny co cztery do sześciu godzin, ale nie wolno pić alkoholu, bo poczułaby się pani odurzona. Diclofenac ma zmniejszyć obrzęk ręki. Trzeba zażywać jedną taką pigułkę trzy razy dziennie w czasie posiłku.

Pacjentka wzięła od niego leki, a on pochylił się nad nią.

- Może chciałaby pani zostać w szpitalu?

- Wolę wrócić do domu. Mąż się mną zaopiekuje.

- Na pewno? Zostałaby tu pani tylko przez dwa dni, a podobno posiłki na naszych oddziałach są całkiem jadalne.

- Bardzo dziękuję, ale wolę wrócić do domu.

- Wobec tego umówimy panią z naszym ortopedą, ale niech pani natychmiast do nas przyjdzie, jeśli poczuje pani w palcach mrowienie albo jeśli nagle zbieleją, a potem zsinieją.

- Miła kobieta - mruknęła Izzie po wyjściu pacjentki.

- Owszem - przyznał Ben. - Izzie, chcę ci coś powiedzieć...

- Przepraszam, że przeszkadzam - rzekła Tess, podchodząc do nich - ale niedługo zabraknie nam plastrów i strzykawek.

- Nie martw się - odparła Izzie. - Przyniosę je z magazynu.

Jednakże niebawem zorientowała się, że zapasy są bliskie wyczerpania. Oznaczało to, że złożone przez nią zamówienie jak zwykle gdzieś utknęło i że jak zwykle będzie musiała spędzić przy telefonie pół godziny, by to wyjaśnić.

- Niewiele tu znalazłam, Tess! - zawołała, słysząc skrzypienie otwieranych drzwi - więc trzeba będzie.

- Bardzo ci dziękuję, Izzie!

Odwróciła się gwałtownie, a kiedy zobaczyła wściekłą twarz Steve'a, zamarło w niej serce.

- Nie mogłaś poczekać, co? - syknął przez zęby. - Od razu musiałaś pójść do Farrella w sprawie Donalda Gardnera?

- Wcale nie. Przecież próbowałam rozmawiać z tobą, ale...

- Więc to moja wina, tak? - wybuchnął. - Izzie, czy możesz sobie wyobrazić, co czułem, kiedy ten nadęty, arogancki bufon powiedział mi, że nadszedł czas, żebym zastanowił się nad sobą, skoro pielęgniarka jest lepszym diagnostykiem niż ja?

- Steve, przepraszam, ale niepokoiłam się...

- To będzie cudownie wyglądało w moich aktach personalnych, prawda? - ciągnął, nie zważając na jej słowa, - Rozpoznałem kaca, a okazało się, że pacjent ma krwiaka!

- Ben nie wpisze tego do twoich akt. Porozmawiam z nim...

- Och, myślę, że już dość się z nim nagadałaś, nie sądzisz, dziecinko? - zawołał z gniewem. - Właściwie uważam, że powinnaś zrewidować swoje poglądy i zdecydować, po czyjej jesteś stronie!

- Już ci mówiłam, że to nie jest kwestia opowiadania się po czyjejś stronie. I nie nazywaj mnie dziecinką!

- Co takiego? - spytał, patrząc na nią ze zdziwieniem.

- Dobrze słyszałeś. Nie mów tak do mnie. To brzmi idiotycznie.

- Nie wiem, co ostatnio cię ugryzło, kochanie...

- Tak też się do mnie nie zwracaj - dodała z rozdrażnieniem.

- Jestem dorosła, więc przestań traktować mnie protekcyjnie.

- Do tej pory nie przeszkadzało ci, kiedy tak cię nazywałem  
- powiedział, mrużąc oczy.

Musiała przyznać mu rację. Sama nie wiedziała, dlaczego teraz ją to drażni.

- To sprawka Farrella, co? - spytał z gniewem. - To on nakładł ci do głowy tych bzdur.

Izzie cicho zakłęła, a potem wzięła strzykawkę oraz plastry i ruszyła w stronę wyjścia.

- Nikt niczego nie nakładał mi do głowy. Nie jestem idiotką, Steve. A teraz pozwól mi przejść, zanim naprawdę stracę panowanie nad sobą.

Steve nie ruszył się z miejsca.

- Sypiasz z nim, prawda? - wycodził.

- Co takiego? - zawołała, z trudem łapiąc oddech.

- Dobrze słyszałaś. Sypiasz z nim, choć Bóg jeden wie, jak w jego wieku jest w stanie to jeszcze robić.

Bezwiednie wyciągnęła rękę i uderzyła go w twarz. Zaraz potem spojrzała na niego z przerażeniem.

- Och, przepraszam - wyszeptała. - Nie powinnam była...

- Nie, nie powinnaś była - przerwał jej. Na jego bladej jak kreda twarzy widać było ślady jej palców. - Teraz przynajmniej oboje wiemy, na czym stoimy. Między nami wszystko skończone.

Poczuła bolesny skurcz serca.

- Steve, zaczekaj. Czy nie moglibyśmy o tym porozmawiać?

- A o czym tu rozmawiać?

Jak on mógł to powiedzieć? - pomyślała. Jak mógł tak lekko przekreślić wszystko, co nas dotąd łączyło? Poczuła wzbierającą w niej falę wściekłości.

- W porządku! - powiedziała. - Jeśli tego chcesz, dobrze. Prawdę mówiąc, będę zadowolona, jeśli cię więcej nie zobaczę!



Steve nie próbował nawet z nią dyskutować. Wyszedł, głośno zatraskując za sobą drzwi. Izzie mocno przygryzła wargi, czując napływające do oczu łzy. I co ja zrobiłam najlepszego? - pomyślała. To prawda, że mnie rozgniewał, ale żeby go spoliczkować? A potem jeszcze powiedzieć, że nie mam ochoty więcej go widzieć?

Instynktownie chciała za nim pobiec, ale kiedy ruszyła w stronę wyjścia, drzwi ponownie się otworzyły. Stanął w nich jednak nie Steve, lecz Ben.

- Czy znalazłaś te plastry? - spytał, a ona szybko odwróciła się do niego plecami, nie chcąc, by zobaczył jej twarz.

Bez słowa przesunęła pudła w jego stronę, modląc się w duchu, żeby je wzięł i jak najprędzej odszedł.

- Izzie, czy nic ci nie jest? - spytał, podchodząc do niej.

Próbowała powiedzieć, że czuje się świetnie, ale usłyszała tylko swój zduszony szloch. Po chwili zdała sobie sprawę z tego, że Ben chwytają za ramiona i wyprowadza z magazynu.

- Dokąd idziemy? - spytała. - Te plastry... Fran...

- Da sobie radę.

- Ale...

Wepchnął ją do swego gabinetu, posadził na krześle, a potem przysunął sobie drugie i postawił je naprzeciwko niej.

- No dobrze, co się stało?

- Nic... nic się nie stało - wykrztusiła, przełykając łzy. - Po prostu jestem... trochę zmęczona.

- Spróbujmy ponownie. Może tym razem uda ci się wymyślić coś bardziej przekonującego.

- To... sprawa osobista.

- Przecież jesteśmy przyjaciółmi, prawda?

W milczeniu potrząsnęła głową.

- Czy to znaczy, że nie jesteśmy już przyjaciółmi, czy też, że nie zamierzasz mi powiedzieć prawdy?

Słyszając w jego głosie wyraźny niepokój, znów się rozpłakała. Kiedy zaczęła nerwowo szukać chusteczki, podała jej swoją.

- To przez Steve'a, prawda? - spytał, ujmując jej ręce. - Poradziłem mu, żeby zastanowił się nad sobą, a on wyładował swoją złość na tobie, tak?

- Nie, mylisz się - skłamała, próbując bezskutecznie powstrzymać łzy i uwolnić dłonie z jego rąk.

- Powiedz mi, co zaszło, Izzie.

- To nie ma znaczenia.

- Powiedz - nalegał.

- Pokłóciliśmy się... o Donalda Gardnera - wyszeptała w końcu. - Powiedzieliśmy sobie wiele przykrych słów, a potem... on oświadczył, że wszystko między nami skończone.

- Nie mówił tego poważnie.

- Mówił - odparła łamiącym się głosem. - To wszystko moja wina. Powinna była pamiętać o tym, że on ostatnio żyje w ciągłym stresie. W czasie weekendu ma te swoje egzaminy i martwi się, że jeśli ich nie zda...

Głos uwiązał jej w gardle. Zaczęła się zastanawiać, dlaczego usprawiedliwia Steve'a. Ben najwyraźniej pomyślał o tym samym, ponieważ na jego twarzy pojawił się wyraz złości.

- Jesteś zbyt dobra i wrażliwa. I doskonale o tym wiesz.

- Być może, ale w wieku dwudziestu sześciu lat jest już chyba za późno, żeby się zmienić - rzekła niby to żartobliwie.

- On na pewno do ciebie wróci. Każdy mężczyzna przy zdrowych zmysłach by to zrobił.

Nie, on nie wróci, pomyślała, schylając głowę, by ukryć rumieńce, które oblały jej policzki na wspomnienie zarzutu Steve'a.

- Ta kłótnia nie dotyczyła wyłącznie Donalda Gardnera, prawda? Chodziło jeszcze o coś, tak?

- Ależ nie - skłamała, spuszczać wzrok.

- Powiedz mi prawdę, Izzie.

- On podejrzewa... - zaczęła drżącym z zażenowania głosem. - Podejrzewa, że ty i ja...

Usłyszała, że Ben gwałtownie wciąga powietrze.

- Porozmawiam z nim.

- Co? - zawołała, gwałtownie unosząc głowę.

- Powiem mu, że zachowuje się jak skończony głupiec. Ze ty i ja... - Wzruszył ramionami.

- Zrobiłbyś to dla mnie? - spytała, czując z przerażeniem znów napływające do oczu łzy.

Ben kiwnął potakująco głową.

- Dlaczego?

- Bo... - Spojrzał na nią ciepłym, łagodnym wzrokiem, który podzielał kojąco na jej zbolełe serce. - Bo chcę, żebyś była szczęśliwa.

W jej oczach znów zakręciły się łzy. Pospiesznie uwolniła dłonie z jego uścisku i energicznie wytarła nos.

- Wiesz co? Jesteś bardzo dobrym człowiekiem - powiedziała, a potem wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka. - Ben...

Zamilkła, widząc w jego szarych oczach gorycz oraz coś, co odebrało jej głos i zmroziło krew. Wydawało jej się, że zobaczyła w nich intensywne, niemal przerażające pożądanie.

- Porozmawiam z nim teraz - oznajmił Ben, zrywając się z krzesła.

- Nie! - zawołała. - On jest zły - dodała pospiesznie, widząc jego zdziwiony wzrok. - Rozmowa teraz nie pomoże...

- Jesteś tego pewna?

Kiwnęła głową.

- Wracaj na oddział - powiedziała. - Ja zaraz tam przyjdę. Ben ruszył w stronę drzwi, a potem się zawahał.

- Czy dasz sobie sama radę? - spytał.

- Oczywiście. Po prostu potrzebuję trochę czasu, żeby...

Uśmiechnął się do niej ze zrozumieniem. Gdy wyszedł, przez dłuższą chwilę siedziała nieruchomo, wpatrując się w stojące przed nią puste krzesło.

Gdyby pozwoliła Benowi porozmawiać ze Steve'em, to pewnie sytuacja wróciłaby do normy. Mogliby wszystko naprawić i żyć tak jak przedtem. Nagle zdała sobie sprawę z tego, że wcale tego nie chce. Ze widząc w oczach Bena ból i smutek, niespodziewanie się w nim zakochała.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Rozejrzała się po stołówce i dostrzegła Steve'a, który flirtował z pielęgniarką pracującą na chirurgii. Jeszcze przed sześcioma tygodniami byłaby tym załamana, a teraz...

Zaczęła się zastanawiać, kiedy przestała go kochać. Nękało ją pytanie, czy w ogóle kiedykolwiek go kochała, czy też może pochlebiało jej to, że zainteresował się nią ktoś tak przystojny jak on.

Z westchnieniem odsunęła talerz z nie dokończonym posiłkiem i nie oglądając się za siebie, wyszła. Przez ostami tydzień czasami odżywało w niej wspomnienie tamtej pamiętnej chwili w gabinecie Bena. Czyżby istotnie dostrzegła w jego oczach pożądanie, czy też było to tylko jej pobożne życzenie?

- On nie jest tego wart, Izzie - rzekła Fran.
- Naprawdę? - spytała Izzie, wzdychając.
- Oczywiście. Nie mogę wprost uwierzyć, że on tak się zachowuje, że flirtuje z każdą kobietą, która wpadnie mu w oko...
- Masz na myśli Steve'a? - mruknęła Izzie z wyraźną ulgą.
- Naturalnie. A kogóż by innego?
- Fran, czy kiedy byłam na lunchu, wydarzyło się coś interesującego? - przerwała jej Izzie, chcąc zmienić temat.

Fran potrząsnęła głową.

- Cały ranek był dość spokojny, co oznacza, że pewnie czeka nas upiorne popołudnie.

Miała rację. Do godziny czwartej nie mieli ani chwili wytchnienia. W pewnej chwili przywieziono małego chłopca.

- Joey Simpson? - spytała z przerażeniem, kiedy April podała jej szczegóły. - Sześciolatek syn Scotta i Laury?

- Tak. Twierdzi, że przewrócił się w ogrodzie i uderzył się w klatkę piersiową. Jest w dość kiepskim stanie.

- Kto go tu przywiózł, matka czy ojciec?

- Żadne. Przyjechała z nim Mavis.

- Mavis? - zawołała Izzie ze zdziwieniem. - Nasza Mavis?

- Owszem. Podobno mieszka obok i zaniepokoił ją stan Joeya.

Całe szczęście, że ktoś się nim zajął, pomyślała Izzie, rozbierając chłopca. Jego chudą klatkę piersiową pokrywały liczne siniaki, które dowodziły niezbicie, że nie spowodował ich upadek.

- Wygląda mi to na wieloodłamowe złamanie żeber - oznajmiła Mavis, siadając obok chłopca i obejmując go opiekuńczym gestem.

- Na jakiej podstawie pani tak sądzi? - spytała Izzie ze zdumieniem.

- Byłam kiedyś pielęgniarką, moja droga - wyjaśniła starszuszka.

- Czy dlatego...?

- Ciągle tu przesiaduję? - dokończyła Mavis. - Nie mam męża ani rodziny, a tutaj czuję się tak, jakbym przychodziła do domu. Rozumie pani, moja droga?

Izzie doskonale to rozumiała, ale po raz pierwszy usłyszała tak smutne wyznanie.

- To jego rodzice, prawda? - ciągnęła Mavis, kiedy Izzie układała chłopca na boku, by ułatwić mu oddychanie. - Mam na myśli to, że go biją.

- Czy nie wie pani, gdzie oni teraz są? - spytała Izzie, czując, że musi zakończyć ten temat.

- Matka jest na jednym z tych swoich zebrań, a on pracuje. Próbowałam się z nimi skontaktować, ale... - Na jej drobnej twarzy pojawiła się złość. - Tak czy owak, bardziej interesował mnie Joey. Czy zbada go ten wysoki lekarz, który ma podłe usposobienie i dobre serce?

- Jeśli ma pani na myśli doktora Farrella, to owszem - odzwała Izzie, uśmiechając się lekko.

- Lubię go - oznajmiła Mavis niespodziewanie. - Przypomina mi kogoś, kogo znałam przed wielu laty.

- Naprawdę? - spytała Izzie z ciekawością.

- To było wiele lat temu - odparła Mavis, lekko się czerwieniąc. - A teraz nie będę już przeszkadzać. Gdybym mogła się na coś przydać, to będę w rejestracji - dodała i wyszła.

- Jak do tego doszło, kochanie? - spytała Izzie swego małego pacjenta, ściskając czule jego drobną dłoń.

- Upadłem - wyjaśnił, patrząc na nią obojętnym wzrokiem.

- Nie sądzę - mruknęła, delikatnie odgarniając jego krótkie, jasne włosy. - Myślę, że ktoś cię zbił.

Przez chwilę w jego szarych oczach widziała lęk i brak zdecydowania. Potem nagle odwrócił wzrok.

- Upadłem - powtórzył.

Westchnęła, wiedząc, że teraz nic więcej z niego nie wydobędzie. Wyrzała na korytarz i gestem ręki przywołała Tess.

- Ale doktor Farrell powiedział, żeby mu nie przeszkadzać, jeśli nie będzie to coś naprawdę pilnego - oznajmiła Tess, gdy Izzie poprosiła ją o znalezienie Bena. - Rozmawia przez telefon z działem zaopatrzenia i robi im piekielną awanturę o to zamówienie, z którego do tej pory się nie wywiązali.

- Mimo wszystko zawołaj go, Tess - rzekła Izzie tonem nie znoszącym sprzeciwu, a potem spojrzała na Joeya.

Ben miał rację. Ktoś używał siły wobec tego chłopca, ale jeśli robi to ktoś z jego rodziców lub obydwoje, to dlaczego

mały nikomu o tym nie powiedział? Przebiegła w pamięci wszystkie podręczniki dotyczące maltretowania dzieci. Strach przed rodzicami może powstrzymywać dziecko od mówienia - dziecko się boi jeszcze większej krzywdy - ale miłość również może być czynnikiem hamującym. Wiele dzieci tak rozpaczliwie pragnie miłości, że wolą znosić ból niż rozłąkę z rodzicami.

Słyszając za drzwiami głos Bena, wyszła mu na spotkanie.

- Jakiś kłopot? - spytał.
- Powiedziałaś, że chcesz widzieć Joeya Simpsona, jeśli się znowu tu pojawi.
- Tym razem to poważny przypadek, prawda?
- Tak.
- Czy są tu jego rodzice? - spytał posępnie.
- Nie, przywiozła go tu Mavis.
- Nasza Mavis? - spytał.
- Owszem. Teraz próbuje skontaktować się ze Scottem i Laurą.

Ben skinął na Tess i oboje zniknęli w izbie przyjęć. Izzie patrzyła za nimi zmartwiona. Jasne, to ją Ben obwinia za stan Joeya. Gdyby ostatnim razem pozwoliła mu zawiadomić opiekunów społecznych, nie doszłoby do tego. Idąc korytarzem, modliła się w duchu, żeby szybka akcja Mavis przyniosła pomyślne rezultaty. Kiedy usłyszała dobiegające z rejestracji podniesione głosy, jej twarz przybrała surowy wyraz. Najwyraźniej przybyła pani Simpson, która domagała się widzenia z synem. Świetnie, bo mam jej do powiedzenia kilka słów, pomyślała, podchodząc do niej.

- Och, siostra Clark! - zawołała pani Simpson z wyraźną ulgą. - Ta recepcjonistka twierdzi, że muszę czekać...
- To prawda - przerwała jej Izzie. Proszę pójść ze mną, mamy tu specjalna poczekalnię dla krewnych...



- Ale ja nie chcę czekać - zawołała pani Simpson z irytacją.
- Chcę zobaczyć synka. Podobno doznał jakichś obrażeń.

Izzie wprowadziła ją do poczekalni i energicznym ruchem zamknęła drzwi.

- Przypuszczam, że Joey doznaje obrażeń od dość długiego czasu. A co pani o tym sądzi?

- Nie wiem, o co siostrze chodzi.

- Myślę, że doskonale pani wie. Od jak dawna Joey ma kłopoty z oddychaniem?

- Z oddychaniem? - powtórzyła Laura. , Przecież oddycha prawidłowo. Dwa dni temu upadł w ogrodzie, ale pani wie, jaki on jest. Stale się przewraca.

Izzie z trudem zachowała panowanie nad sobą i poczuła ulgę, kiedy w drzwiach poczekalni stanął Ben.

- Doktorze, jak on się czuje? - spytała pani Simpson. - Czy mogę go zobaczyć?

- Wszystko we właściwym czasie - odparł chłodno. - Chciałbym wiedzieć, w jaki sposób syn doznał tych obrażeń.

- Już wyjaśniłam to siostrze. Joey po prostu upadł.

- Pani Simpson, po raz ostatni widziałem takie obrażenia na ciele ofiary wypadku drogowego. Pani syn ma wieloodłamowe złamanie żeber, a sądząc z koloru stłuczeń, nie stało się to dziś rano. Czyżby nie zauważyła pani, że kiedy Joey wciąga powietrze, ściana jego klatki piersiowej się zapada?

- Nie jestem lekarzem - odparła. - Wiem tylko, że się przewrócił.

Ben spiorunował ją wzrokiem.

- Joey twierdzi, że państwo go biją.

- Dziecko trzeba niekiedy ukarać. Kochamy naszego synka...

- Ale nie na tyle, żeby przywieźć go do szpitala, kiedy jest naprawdę poważnie chory - przerwał jej obcesowo. - Pani

Simpson, Joey leży pod tlenem na intensywnej terapii. Przypuszczam, że zarówno policja, jak i opiekunowie społeczni będą chcieli z państwem na ten temat porozmawiać.

Pani Simpson pobladała.

- Policja? Ale sąsiedzi, moi przyjaciele... - Jej policzki nagle wyraźnie poczerwieniały. - Co Joey panu powiedział? On okropnie kłamie...

Ben nie czekał na koniec zdania, tylko odwrócił się i wyszedł z poczekalni. Izzie podążyła za nim.

- Czy sądzisz, że on wyzdrowieje? - spytała z niepokojem.

- Myślę, że tak. Przynajmniej taką mam nadzieję. Złamania wywołały zakażenie, ale dotąd w żadnym płucu nie ma odmy.

Spojrzała na niego wzrokiem, w którym malowało się poczucie winy.

- Ben, tak mi przykro. Gdybym cię posłuchała, gdybym nie była taka pewna siebie, tak bardzo przekonana o swojej racji...

- Wszyscy popełniamy błędy.

Oczywiście miał słuszość, ale kiedy dostrzegła w jego szarych oczach jakiś dziwnie odległy, obcy wyraz, poczuła bolesny skurcz serca.

- Ben...

Nie dokończyła, bo nagle usłyszeli głośne wołanie Tess:

- Na pomoc!

- Co się stało? - spytał Ben, szybko do niej podchodząc.

- Alex Wilson spadł z roweru i przywieziono go tu z drobnymi otarciami naskórka - wyjaśniła Tess drżącym głosem. - Kiedy je przemywałam, mały nagle stracił przytomność.

- Gdzie on jest?

- W reanimacyjnej z doktorem Melville'em i siostrą Walton.

Gdy Ben się odwrócił, jakaś blada jak kreda, oszalała z przerażenia kobieta chwyciła go kurczowo za rękę.

- Och, doktorze, proszę, to mój syn... moje jedyne dziecko. Błagam, niech pan nie pozwoli mu umrzeć. Proszę mu pomóc!

- Obiecuję, że zrobię wszystko, co mogę - odrzekł. - Izzie, chodź ze mną.

Kiedy dotarli do sali reanimacyjnej, okazało się, że Steve już chłopca zaintubował, a Fran podłączyła monitor serca.

- Jak wygląda sytuacja? - mruknął Ben, podwijając rękawy.

- Nie mam pojęcia - odparł Steve. - Czuł się świetnie, a potem nagle zemdłał.

, - Czy podczas badania nie stwierdziłeś niczego niezwykłego? - spytał Ben, wyjmując z kieszeni stetoskop.

- Kiedy go osłuchiwałem, wydawało mi się, że dociera do mnie jakiś dziwny szmer...

- Dziwny? W jakim sensie dziwny?

- Coś w rodzaju szumu.

- To może być tętniak aorty - oznajmił Ben, marszcząc brwi. - Steve, podłącz kroplówkę. Izzie, obserwuj jego oddech... Och, na litość boską, daj mi to! - wybuchnął gniewem, kiedy kroplówka wyśliznęła się z palców Steve'a. - Zanim się z tym uporasz, to dziecko może już nie żyć!

Steve spurpurowiał, a Izzie odwróciła wzrok. Nie dziwiło jej, że Steve zachowuje się niezdarnie. Ben traktował go w sposób szorstki od czasu pomyłki w zdiagnozowaniu przypadku Donalda Gardniera.

- Zatrzymanie akcji serca! - zawołała nagle Fran.

- Lignokaina - polecił Ben.

Izzie szybko podała mu strzykawkę.

- Tętno i ciśnienie krwi?

- Brak tętna, brak ciśnienia krwi.

- Do diabła! Odczyt ekg, Steve?

- Nic.

- Odsuńcie się - polecił Ben, biorąc elektrody i przykładając

jąc je do klatki piersiowej chłopca. - Czy są jakieś zmiany?  
- spytał, kiedy ciało Alexa podskoczyło pod wpływem elektro-  
wstrząsów.

- Żadnych.

Ben wielokrotnie, lecz bezskutecznie ponawiał próby pobu-  
dzenia akcji serca dziecka do pracy. W końcu, klnąc pod nosem,  
odłożył elektrody i wyłączył defibrylator.

- No cóż, nic więcej nie da się już zrobić - mruknął.

W sali zapadła posępna cisza. Ilekroć tracili pacjenta, ogar-  
niało ich uczucie bezsilności i porażki.

- Posłuchajcie, czekają na nas, więc może wrócilibyśmy do  
pracy, co? - powiedział Ben, przerywając męczącą ciszę.

Steve i Fran szybko zniknęli, a Izzie nie ruszyła się  
z miejsca.

- Zrobiłeś wszystko, co mogłeś - wyszeptała.

- Z pewnością - odparł z grymasem gorzkości. - Myślę, że  
te słowa pociechy do głębi poruszą panią Wilson - mruknął,  
a po chwili dodał: - Przepraszam. Ta uwaga była całkiem nie-  
stosowna.

- Ja też przepraszam - wyszeptała z zakłopotaniem. - Przy-  
kro mi z powodu Alexa i Joeya i przepraszam cię za to, że ja  
również przyczyniłam się do twoich zmartwień.

- Ty? Nic podobnego.

- Ależ owszem. Nie powinnam była wciągać cię w swoje  
prywatne sprawy. Steve i ja...

- Izzie, pozwól mi z nim porozmawiać - powiedział, ści-  
skając jej rękę. - Jestem pewien, że uda mi się wszystko na-  
prawić.

Powiedz mu, że nie chodzi ci o Steve'a, lecz o niego, nama-  
wiał ją jej wewnętrzny głos, ale nie miała odwagi mu ulec.

- Ben, czy sądzisz, że Steve i ja pasujemy do siebie?

Gdy milczał, rozpaczliwie zapragnęła, by zaprzeczył. Marzy-

ła, by powiedział, że kocha ją bardziej niż Steve kiedykolwiek ją kochał, ale on tego nie zrobił.

- Nie ja powinienem to oceniać - odrzekł w końcu.

- Możliwe, ale chciałabym usłyszeć twoje zdanie.

- Pragnę... - zaczął, ściskając mocniej jej dłoń. - Chcę tego, czego ty chcesz, Izzie - dokończył dziwnie ochrypłym głosem, wypuszczając jej dłoń. - Teraz muszę już iść. Pani Wilson na pewno na mnie czeka.

Patrząc, jak odchodzi, poczuła dławienie w gardle. Z jednej strony miała ochotę pobiec za nim, z drugiej zaś wybuchnąć płaczem, ale zdawała sobie sprawę, że nic może zrobić ani jednego, ani drugiego. Wiedziała, że pani Wilson zechce zobaczyć swego syna, a nie mogła dopuścić do tego, by ujrzała go połączonego z całą masą urzędów. Gdy doprowadziła wszystko do porządku i przykryła dziecko prześcieradłem, weszła pani Wilson.

- Czy chciałaby pani, żebym tu została? - spytała Izzie.

- Nie - wyszeptała pani Wilson, podchodząc do syna. - Wolałabym... zostać sama.

Izzie bezszelestnie wymknęła się z pokoju i od razu wpadła na siostrę Faith Norman.

- Przecież to nie jest jeszcze pora twojego dyżuru, prawda, Faith? - zawołała zaskoczona.

- Jeszcze? - zdziwiła się Faith. - Zaczęłam dyżur niemal przed godziną, Izzie.

Oznaczało to, że Ben pojechał do domu. I to bez słowa pożegnania.

- Słuchaj, wiem, że miałaś zły dzień i przykro mi, że muszę cię o to prosić - ciągnęła Faith, wsuwając rękę do kieszeni - ale doktor Farrell zapomniał wziąć swój pager, więc pomyślałam, że w drodze do domu mogłabyś mu go podrzucić.

Choć pager ten należał nie do Bena, lecz do Steve'a, Izzie automatycznie wyciągnęła po niego rękę.

- Oczywiście, odwożę - powiedziała. - To żaden kłopot.

Jednakże kiedy zatrzymała samochód przed Domkiem Strażnika, nie była już tego tak bardzo pewna. Cóż ze mnie za idiotka, pomyślała, spoglądając na niski budynek z szarego kamienia. Wystarczy jeden rzut oka, by Ben przekonał się, że to nie jest jego pager. Wystarczy też jedno spojrzenie na mnie, by od razu zorientował się, że doskonale o tym wiem.

- Och, dość już tego - mruknęła. - I co z tego, jeśli zda sobie sprawę, że użyłam pagera jako pretekstu do odwiedzin? Przecież jesteśmy przyjaciółmi. No tak, ale nikt przed wizytą u przyjaciela nie spędza tak dużo czasu w szpitalnej łazience, starannie robiąc makijaż - upomniała się w duchu, idąc zarośniętą ścieżką, a potem naciskając dzwonek.

Nagle poczerwieniała. A jeśli on nie jest sam? Jeśli jest z nim Joanna i są zajęci... Gwałtownie się odwróciła, chcąc uciec, lecz było już za późno. Ben stanął na progu, a jego mina świadczyła o tym, że nie jest wcale zachwycony jej wizytą.

- Izzie - mruknął. - Cóż za niespodzianka.

I niezbyt miła, pomyślała z bólem serca, nie dostrzegając w jego szarych oczach ani cienia serdeczności.

- Zapomniałeś... zostawiłeś w szpitalu swój pager - wyjąkała. - Więc ja... razem z siostrą Norman martwiłyśmy się, że możesz go potrzebować.

Ben spojrział na aparat, a potem na Izzie.

- On nie należy do mnie".

- Naprawdę? - spytała nienaturalnie wysokim głosem.

- To pager Steve'a, więc jeśli nie masz do mnie innych...

Och, mój Boże, on zamierza zamknąć mi drzwi przed nosem, pomyślała z przerażeniem.

- Przepraszam, że ci przeszkodziłam - wyjąkała. - Powinam była się zorientować. Jeszcze raz przepraszam.

Ruszyła ścieżką w stronę samochodu i nagle zdała sobie sprawę z tego, że Ben podąża za nią.

- To nie było zbyt uprzejme z mojej strony - powiedział. - Posłuchaj, właśnie zamierzałem zjeść kolację. Czy nie zechciałabyś mi towarzyszyć?

Zastanawiała się, czy istotnie tego chce, czy też zaproponował jej to ze zwykłej uprzejmości.

- Pewnie nie masz dość jedzenia...

- Nie zapraszałbym cię, gdybym nie chciał, żebyś się zgodziła - przerwał jej. - Kolacja będzie za dziesięć minut.

Nie zaczekał nawet na jej odpowiedź, lecz odwrócił się i ruszył w stronę domu, najwyraźniej oczekując, że podąży za nim. Po chwili wahania poszła jego śladem.

- Czy mogę ci w czymś pomóc? - spytała, kiedy przystanął w połowie korytarza. - Na przykład nakryć do stołu?

- Po prostu czuj się jak u siebie w domu.

Jakże mogła się tak czuć, skoro on najwyraźniej nie życzył sobie jej towarzystwa? Upewniła się, że w ogóle nie powinna była tu przychodzić. Z posępną miną weszła do salonu, który wyglądał tak samo jak za czasów panny Benson. Z jednym wyjątkiem. Ben powiesił na ścianach kilka współczesnych obrazów. Salon nadal zdobiły ciemne, dębowe belki, lśniąca drewniana podłoga i piękne, stare, dębowe meble.

- Co sądzisz o moim domu? - spytał Ben, wchodząc do pokoju.

- Jest uroczy - odparła.

- Czyżbym wyczuwał w tym jakieś „ale”?

- Niezupełnie - powiedziała z uśmiechem. - Rzecz w tym, że gdybym ja tu mieszkała, to...

- Upiększyłabyś go różnymi dekoracyjnymi drobiazgami i barwnymi poduszkami, żeby stworzyć w nim bardziej przytulną atmosferę.

- Jak na to wpadłeś? - spytała, czerwieniejąc z zażenowania, że tak precyzyjnie odgadł jej myśli.

- Powiedziałaś mi kiedyś, że jesteś romantyczką, pamiętasz?

Nie zabrzmiało to wcale jak komplement i poczerwieniała jeszcze bardziej. Po co w ogóle tu przyszłam? - spytała się w duchu. Zapadło niezręczne milczenie, które zaczęło się przedłużać. Izzie rozejrzała się po pokoju, próbując wymyślić jakiś temat rozmowy.

- Niezwykłe obrazy - powiedziała w końcu.

- Niezwykłe?

„Piekielnie przygnębiające” byłoby trafniejszym określeniem, ale za nic w świecie nie powiedziałaaby mu tego. Ogromny pejzaż, nieco mniejszy obraz marynistyczny i portret rudowłosej dziewczyny wśród maków przyprawiły ją o dreszcze. Były tak posępne, jakby namalował je człowiek skrajnie niešťczęśliwy.

- One są po prostu... inne - wyjaśniła pospiesznie.

- Widzę, że niezbyt ci się podobają.

- Powiedzmy, że nie chciałabym mieć ich u siebie w domu.

- To ja je namalowałem.

Wiedziała, że nie ma sensu przeproszać. Nie mogła już cofnąć swych słów. Kiedy szła za nim do jadalni, błagała Boga, by nastrój tego wieczoru jeszcze bardziej się nie popsuł.

Ale tak właśnie się stało.

Choć kolacja, która składała się ze świeżo złowionego, smażonego pstrąga, doskonale przyrządzonej sałaty i małych, chrupiących ziemniaków była wyśmienita, Izzie wiedziała, że równie dobrze mogłaby teraz jeść czerstwy chleb.

On cię nie kocha, mówił jej serce, kiedy w kompletnej ciszy spożywali posiłek. Chyba nawet niezbyt cię lubi. Czuła, że powinna stąd wyjść pod jakimkolwiek pretekstem.

- Ben...



- Izzie...

- Ty pierwszy - powiedziała pospiesznie.

Przez chwilę milczał, a ona czekała, czując, że jej dłonie wilgotnieją, serce zaś bije niespokojnie.

- Izzie, chodzi o Steve'a.

Poczuła nagły ucisk w gardle.

- Nie chcę o nim rozmawiać - wykrztusiła.

- Podziwiam twoją niezależność, ale pozwól mi sobie pomóc.

Tylko w jeden sposób możesz mi pomóc, pomyślała ze smutkiem, ale chyba nie zamierzasz tego zrobić. Sięgnęła po nóż i widelec tak gwałtownie, że niechący strąciła ze stołu butelkę z winem. Szkło rozprysło się, a wino zalało podłogę.

- Och, mój Boże, przepraszam - zawołała, zrywając się na równe nogi. - Twoja piękna podłoga!

- Nic się nie stało.

- Nieprawda. Przyniosę jakąś ścierkę...

- Izzie, to naprawdę drobiazg - powiedział, chwytając ją za rękę. - Gwiżdżę na tę idiotyczną butelkę i na podłogę.

- Ale ja nie. Przychodzę tu nieproszona, krytykuję twoje obrazy, a potem mszczę ci podłogę. Jestem beznadziejna...

- Och, Izzie, to ja powinienem cię przeprosić. Byłem wobec ciebie nieuprzejmy, a potem zachowałem się nietaktownie, poruszając temat Steve'a...

Jak możesz być tak ślepy? - pomyślała. Czyżbyś nie widział, że jestem w tobie zakochana? A może twoje uczucie do mnie jest tak nikłe, że nie przyszło ci to nawet do głowy? Gdy łzy napłynęły jej do oczu, zaczęła szukać w kieszeni chusteczki, a Ben przyciągnął ją do siebie i objął.

- Och, Izzie\* przestań - wyszeptał. - Nie mogę patrzeć, jak płaczesz. Postaram się, żeby do ciebie wrócił; Obiecuję.

- Ty... nic nie rozumiesz - wyszlochała.

- Ależ rozumiem, wierz mi - oznajmił, delikatnie ocierając palcami łzy z jej policzków. - Doskonale wiem, co to znaczy mieć złamane serce.

Próbowała coś powiedzieć, lecz miała wrażenie, że język przylgnał jej do podniebienia. Odruchowo uniosła głowę i musnęła wargami jego usta. Oczy Bena rozszerzyły się i wyraźnie pociemniały, ona jednak nie przestała go całować. W końcu poczuła, że Ben się poddaje. Kiedy dotknął jej piersi, westchnęła z rozkoszy. On cię pragnie, krzyczało radośnie jej serce. Gdy przylgnęła do niego mocniej, poczuła, że jest wyraźnie podniecony. Ona też go pragnęła. Lecz kiedy nagle się od niej odsunął, spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Ben...? - wyszeptała drżącym głosem.

- Lepiej już idź - powiedział cicho.

- Mam sobie pójść?

- Izzie... - Splótł dłonie tak, że zbiełały mu kostki. - Uważam cię za wspaniałą dziewczynę, ale to istne szaleństwo. Steve...

- Czy możesz przestać o nim mówić! - powiedziała z gniewem. - Nie kocham go. Ja... zakochałam się w tobie.

Gdy wyrzuciła to z siebie, zrobiło jej się gorąco.

- Izzie... - Ben zawahał się i odchrząknął. - Izzie, bardzo mi pochlebia, że ktoś taki jak ty może choćby przez minutę wierzyć, że darzy mnie uczuciem, ale to nieprawda.

- Ależ Ben, jestem w tobie zakochana od tygodni!

W jego oczach pojawił się jakiś błysk - nadziei lub przerażenia - lecz natychmiast zniknął.

- Nawet gdyby to była prawda, nie jestem dla ciebie odpowiednim partnerem. Jestem za stary i... za nudny.

- Nie jesteś nudny - zaoponowała. - I nie jesteś stary.

- Byłem lekarzem, kiedy ty jeszcze bawiłaś się lalkami.

- Nigdy nie bawiłam się lalkami! - zawołała. - Owszem, strzelałam z łuku, ale lalki mnie nie interesowały.

Na twarzy Bena pojawił się przelotny uśmiech.

- Nic by z tego nie wyszło, Izzie. Po śmierci Caroline...

- Zawahał się, a Izzie miała ochotę wykrzyknąć, że przecież jego żona nie żyje, że nigdy już nie wróci...

- Nadal ją kochasz, prawda? - spytała drżącym głosem.

Nie odpowiedział. Kiedy wyciągnęła rękę w jego stronę, gwałtownie się cofnął.

- Idź do domu, Izzie. Wyjdź stąd, zanim zrobię coś, czego oboje do końca życia będziemy żałować.

- Ja bym tego nie żałowała - wyszeptała, czując, że jej policzki płoną. - Pragnę cię i wiem, że ty... też.

Przez chwilę myślała, że Ben znów ją obejmie, ale on ku jej przerażeniu wybuchnął sztucznym śmiechem.

- Oczywiście, że cię pragnę! - zawołał. - Przecież jestem mężczyzną, a nie mnichem, więc kiedy rzuca się na mnie atrakcyjna kobieta, to co, do diabła, miałbym zrobić? - Widząc, że Izzie drży, skrzywił się boleśnie. - Och, na litość boską, idź już do domu. Nie pasujemy do siebie i zapewniam cię, że nic by z tego nie wyszło.

Przez łzy ledwo widziała jego twarz.-

- Ben, proszę...- wyszeptała.

- Co mam zrobić, żeby to do ciebie dotarło? - wybuchnął.

- Nie mam ochoty na twoje towarzystwo, więc dlaczego po prostu stąd nie wyjdiesz?

Tłumiąc szloch, opuściła jego dom.

Nie wiedziała, że Ben patrzył za nią, dopóki jej samochód nie zniknął za zakrętem. Nie wiedziała, że kiedy wszedł z powrotem do domu, nalał sobie dużą porcję whisky. Nie wiedziała też, że przez długi czas stał, wpatrując się w portret rudowłosej kobiety, a potem nagle cisnął w niego szklanką.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

- Izzie, musimy porozmawiać - powiedział łagodnym tonem.

Gdyby przestała rozmawiać z Faith, byłaby teraz w połowie drogi do domu i nie wpadłaby na Bena.

- Czy to nie może poczekać? - spytała. - Mam za sobą ciężki dzień...

- Ja też, ale ta sprawa nie może czekać. Musimy porozmawiać o tym, co wydarzyło się wczoraj w moim domu.

Nie miała ochoty wspominać tego wieczoru. Na samą myśl o swym wyznaniu i reakcji Bena kurczyła się z zażenowania.

- Proszę - szepnęła, rozglądając się nerwowo wokół siebie w nadziei, że ktoś nadejdzie i położy kres tej krępującej rozmowie. - Nie musisz nic mówić. Doskonale wszystko rozumiem.

- Bardzo w to wątpię - mruknął. - Izzie, spójrz na mnie.

Bała się spojrzeć mu w oczy w obawie, że może w nich dostrzec współczucie, a nawet rozbawienie. Jednakże gdy Ben uniósł jej głowę, zauważyła w nich jedynie niepokój. Choć sama nie wiedziała dlaczego, wydało jej się to jeszcze gorsze.

- Izzie, oboje byliśmy wczoraj podenerwowani. Ty z powodu Steve'a, a ja... Ale to nie usprawiedliwia mojego zachowania. Nie powinienem był...

Przerwał mu przenikliwy dzwonek pagera. Kiedy sięgnął po aparat do kieszeni, Izzie wykorzystała sytuację i uciekła. Doskonale wiedziała, że Ben wróci do tego tematu, ale teraz nic

jej to nie obchodziło. Pragnęła tylko wrócić do domu, zamknąć drzwi i zacząć ubolewać nad tym, że w ogóle się urodziła.

- Niedobrze to wygląda, prawda, siostrze? - powiedział portier, kiedy zmierzała w stronę samochodu.

- Co wygląda niedobrze?

- No, ten pożar w składzie drewna u Houndslowa. Podobno jest wielu rannych.

Izzie biegiem wróciła do szpitala.

- Miałaś bardzo krótką przerwę - mruknęła Faith na jej widok.

- Jak wygląda sytuacja? - spytała Izzie.

- Sześć ofiar jest już w drodze, cztery kobiety i dwóch strażaków - wyjaśniła Faith.

- Jakie mamy w tej chwili pilne przypadki? - spytał Ben, wychodząc z izby przyjęć.

- Ostrą astmę, zapalenie płuc i pacjentkę z podejrzeniem ciąży pozamajaczej - odparł Steve, podchodząc do nich.

- Odeślij pacjentów z astmą i zapaleniem płuc na oddziały i zawiadom doktora Brownlie z ginekologii o ciąży pozamajaczej. Faith, uprzedź salę operacyjną i laboratoria, żeby byli w stanie pogotowia. Izzie, sprawdź wyposażenie sali reanimacyjnej, a ty, Tess...

- Kiedy przywiozą ofiary, należy w pierwszej kolejności sprawdzić drożność dróg oddechowych, oddychanie i krążenie krwi. Siostra Clark stale mi to powtarza - wyrecytowała Tess.

- I ma absolutną rację - przyznał Ben. - Najwyraźniej jest doskonałą nauczycielką.

Kiedy Izzie skończyła sprawdzać wyposażenie sali reanimacyjnej, przywieziono pierwszą ofiarę.

- To strażak - wyjaśnił sanitariusz. - Nazywa się David Renton. Ciśnienie dziewięćdziesiąt na siedemdziesiąt, pojemność minutowa serca trzydzieści procent.

Przez chwilę Izzie analizowała poparzoną twarz strażaka, a potem dała o sobie znać praktyka w zawodzie pielęgniarki. Wiedziała, że jeśli natychmiast nie zwiększy się przepływu krwi w tkankach, pacjentowi grozi hipotermia i niedokrwienie.

- Wymienię mu kroplówkę - oznajmił Ben, niespodziewanie stając obok niej. - Rozetnij mu mundur.

Kiwnęła głową, ale kiedy sięgała po nożyczki, strażak próbował ją odepchnąć.

- Najpierw proszę się zająć ludźmi, którzy tam pracują - wyszeptał chrapliwie. - Mnie nic nie jest. Prawdę mówiąc, poza twarzą, w ogóle nie czuję bólu.

Izzie spojrzała na niego przerażona. Takie wyznanie może oznaczać, że doznał głębokich oparzeń.

- Na pewno wszyscy mają dobrą opiekę, panie Renton - zapewniła go, kiedy Ben podłączał monitor serca. - Proszę się nie niepokoić.

- Tętno? - spytał Ben.

- Sto trzydzieści i rośnie - odparła.

Ben zmarszczył czoło, bo stan pacjenta był poważny. Potem nagle dostał ataku kaszlu i czarna płwocina zaczęła ściekać po jego brodzie. Natychmiast przewieziono go na salę operacyjną.

- Jakie ma szanse przeżycia? - spytała Izzie.

- Z takimi poparzeniami...

Nagle zamilkł, a ona spojrzała na niego z niepokojem. Miał pod oczami ciemne kręgi, które świadczyły o bezsennej nocy. Ona w ogóle nie zmrużyła oka. Aż do rana przewracała się na łóżku z boku na bok, z przerażeniem myśląc o chwili, w której będzie musiała znów go spotkać i z nim rozmawiać.

- Izzie, potrzebuję pomocy! - zawołał Steve, i szybko do niego podbiegła.

Nie usłyszała, że Ben, patrząc na nią, cicho zaklął. Co się ze mną dzieje? - myślał. Przecież ona wcale nie chce pamiętać

o tym, co się wczoraj stało. I to jest chyba najlepsze rozwiązanie dla nas obojga, skoro mamy zamiar nadal razem pracować. Muszę o niej zapomnieć, bo przecież żadna kobieta nie zechce tego, co mam jej do zaoferowania...

- Dzięki Bogu, to już koniec - mruknął Steve znużonym głosem, kiedy ostatnie ofiary pożaru opuszczały pogotowie.  
- Jestem wykończony.

- Ja również - odparła Izzie, masując obolały kręgosłup. Pracowali bez przerwy przez ponad trzy godziny i teraz miała wrażenie, że czuje każdą kość.

- Wszyscy wspaniale się spisaliśmy - oznajmił Steve. - Z początku trochę niepokoiłem się o Tess, ale ona naprawdę świetnie dawała sobie radę. Ale główną gwiazdą tego popołudnia byłaś ty, Izzie. Mówię poważnie - dodał, kiedy uśmiechnęła się z powątpiewaniem. - Wiedziałem, że jesteś dobra, ale nie zdawałem sobie sprawy z tego, że aż taka dobra.

- Ty też byłeś niezły - rzekła ze śmiechem.

Istotnie, przez całe popołudnie wykonywał swe obowiązki tak sprawnie, że zaczęła się zastanawiać, czy nie otrzymał już wyników egzaminów. Z poczuciem winy przypomniawszy sobie, że nawet nie życzyła mu powodzenia, kiedy do nich przystępował.

- Izzie, chcę ci coś powiedzieć - oznajmił nagle. - Coś, co powinienem był ci powiedzieć dawno temu. Izzie... czy ty mnie słuchasz?

Jego pytanie było uzasadnione, ponieważ Izzie kątem oka obserwowała Bena. Wiedziała, że Ben czeka na moment, w którym będzie sama. Wiedziała też, o czym chce z nią rozmawiać.

- Później, Steve, dobrze? - mruknęła, sięgając po torebkę.  
- Ale, Izzie...

Nie dała mu skończyć. Kiedy zauważyła, że Faith zajmuje

Bena rozmową, wybiegła ze szpitala. Marzyła tylko o tym, by jak najprędzej znaleźć się w domu, ale kiedy otworzyła drzwi swego mieszkania, zdała sobie sprawę, że nie może w nim zostać przez resztę popołudnia. Panowała tu zbyt spokojna i zbyt przygnębiająca atmosfera.

Gdy wzięła prysznic i przebrała się w długą, wzorzystą spódnicę oraz bluzkę z krótkimi rękawami, doszła do wniosku, że spacer po Kelso pozwoli jej zająć się innymi sprawami. Jednakże gdy mijała Ednam House, przypomniała sobie dzień, w którym Ben zaprosił ją tam na lunch. Gdy mijała Queen's Head, wróciły wspomnienia posiłków, które jadała tam ze Steve' em. Miała wtedy nadzieję, że wezmą ślub. Teraz Steve nie był już częścią jej życia. A mężczyzna, którego pragnęła, nigdy nie miał się nią stać.

Ruszyła ścieżką, która wiodła nad rzekę, myśląc, że tam przynajmniej uwolni się od ponurych wspomnień. Postanowiła spacerować i podziwiać piękno krajobrazu.

A widoki istotnie były wspaniałe. Patrzyła na lśniący w promieniach wieczornego słońca zamek, rzekę Tweed, która skrzyła się, kiedy jej taflę marszczył lekki wiatr, i widoczne w oddali, zadziwiająco purpurowe wzgórza Eildon. Kiedy skręciła w stronę rzeki, dostrzegła samotnego rybaka. Gdy się obejrzał, stwierdziła z przerażeniem, że jest nim Ben.

Przez chwilę stała jak sparaliżowana, nie mogąc zrobić kroku. Kiedy jednak Ben rzucił na ziemię wędkę i zaczął wchodzić na brzeg, panika pobudziła ją do działania.

- Izzie, zaczekaj! - zawołał.

Nigdy w życiu, pomyślała, przyspieszając kroku, ale on niebawem ją dogonił.

- Izzie...

- Czego chcesz? - spytała, odwracając się do niego.

- Posłuchaj, to nie jest najlepsze miejsce do rozmowy - zaczął z zakłopotaniem. - Może poszlibyśmy na kawę?



- Jest po szóstej, Ben. O tej porze wszystkie kawiarnie są zamknięte.

- To może poszlibyśmy... coś zjeść?

- Ben, nie musisz mnie nigdzie zapraszać - powiedziała z westchnieniem. - Wiem, o czym chcesz ze mną rozmawiać, i zapewniam cię, że nie ma takiej potrzeby. Wczoraj zachowałam się jak skończona idiotka. Mogę cię tylko za to przeprosić i zaproponować, żebyśmy spróbowali o tym zapomnieć.

- Izzie, jestem ci winien wyjaśnienie.

- Nie jesteś mi nic winien. Możesz jedynie obiecać, że nie powiesz o tym Joannie.

- Joannie? - zawołał. - Dlaczego miałbym jej o tym mówić?

- Ponieważ się spotykacie, prawda?

Na jego twarzy pojawił się wyraz irytacji.

- Niech diabli porwą cały ten szpital razem z jego plotkami! Wyszliśmy razem tylko raz, i to wyłącznie dlatego, że ta przekłeta baba zmusiła mnie do tego. Mówiła, że chce ze mną porozmawiać o darowiźnie na rzecz szpitala.

Jej serce radośnie podskoczyło, ale po chwili znów posmutniała. I co z tego, że Ben nie interesuje się Joanną? Przecież i tak mnie nie chce.

- Izzie, posłuchaj...

- Muszę już iść - przerwała mu, zamierzając odejść. - Zobaczymy się jutro w pracy.

- Ale...

- Ben, nie ma sensu analizować wczorajszego wieczoru - ciągnęła, coraz bardziej się od niego oddalając. - Zrobiłam z siebie idiotkę i tyle.

- Uważaj! - zawołał z niepokojem. - Za tobą jest...

Nagle pośliznęła się, straciła równowagę i z krzykiem runęła do zimnej rzeki.

- Wyprostuj nogi i stań na dnie! - zawołał, kiedy się wynurzyła, z trudem łapiąc oddech. - Tu nie jest zbyt głęboko!

Istotnie, woda sięgała do połowy jej ud. Gdy niepewnie stanęła, odgarniając z twarzy mokre włosy, do jej oczu nagle napłynęły łzy upokorzenia. Ben śmiał się - i to z niej.

- Och, Izzie, przepraszam - wykrztusił, kiedy odtrąciła jego rękę i bez słowa wdrapała się na brzeg. - Wiem, że nie powinienem się śmiać, ale...

- Po prostu nie mogłeś się powstrzymać - dokończyła przez zęby. - Nic nie szkodzi. Wszyscy się ze mnie śmieją, więc dlaczego ty miałbyś być wyjątkiem?

- Tego nie powiedziałem - zaprotestował, chwytając ją za rękę. - I zapewniam cię, że nie miałem tego na myśli.

- Nie? - spytała prowokująco, wyrwijąc mu się.

- Nie! Dokąd ty, do diabła, idziesz? - krzyknął, kiedy się odwróciła i z godnością ruszyła przed siebie.

- Do domu.

- W takim stanie? Przecież do Kelso jest pięć kilometrów. Dostaniesz zapalenia płuc.

- No to dostanę.

- Posłuchaj, tam stoi mój samochód. - Wskazał zaparkowane pod drzewem bmw. - Odwiozę cię do domu.

- Wolę pójść pieszo.

- Nie pytałem, co wolisz. Powiedziałem, że cię odwiozę.

- A ja powiedziałam, że wolę iść.

- Izzie, przysięgam, że jeśli natychmiast nie wsiądziesz do tego samochodu, to wezmę cię na ręce i wsadzę do niego siłą.

Straciła pewność siebie. Na chwilę zapomniała o tym, że jest bardzo silny i istotnie mógłby dotrzymać swej obietnicy.

- No dobrze - mruknęła, siłąc się na obojętny ton. - Możesz mnie odwieźć.

Siedziała w milczeniu, gdy wyjechali z wyboistej ścieżki na

główną drogę, lecz kiedy potem Ben skręcił w prawo zamiast w lewo, gwałtownie się do niego odwróciła.

- To nie jest droga do Kelso! - zawołała.
- Wiem o tym.
- Więc dokąd jedziemy?
- Do mojego domu.
- Ale...
- Jest bliżej.
- Ale...
- To jest mój samochód i ja prowadzę, Izzie.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie wyskoczyć w biegu, ale szybko porzuciła ten pomysł. Postanowiła, że kiedy się wysuszy, natychmiast ucieknie. Ben jednak miał inny pomysł. Gdy dotarli na miejsce, zaprowadził ją siłą do łazienki.

- Musisz się rozgrzać - oświadczył, odkręcając krany. - Proponuję więc, żebyś wzięła gorącą kąpiel.

Musiała przyznać mu rację. Była przemoknięta do suchej nitki i przemarznięta do szpiku kości. Przerazała ją jednak myśl, że ma się rozebrać i wejść do jego wanny.

- W drzwiach jest zamek - dodał, jakby odgadywał jej myśli.

- Nie powiedziałam... Doskonale wiem, że nigdy nie zrobiłbyś... - wyjąkała, purpurowiejąc z zażenowania.

- Wiesz, to są najbardziej przygnębiające słowa, jakie kiedykolwiek słyszałem.

- Co?

- Mniejsza o to! - Westchnął. - No dobrze, chyba masz tu wszystko, czego potrzebujesz. Mydło, ręczniki, suszarkę do włosów. Co z twoim ubraniem? Czy mam ci pomóc się rozebrać?

Potrząsnęła nerwowo głową.

- Rzuć wszystko za drzwi, a ja włożę to do pralki - powiedział, idąc w stronę drzwi.

- Ale...

- Posłuchaj, nie masz się czego bać. Na pewno znajdę ci coś do ubrania. A jeśli nie, zawiniemy cię w papier pakunkowy.

- Nie zamierzam wyglądać jak paczka! - mruknęła trochę bez sensu, ale on już zniknął.

Wcale nie muszę się tu kąpać, pomyślała, spoglądając na parującą w wannie wodę. Przecież przy końcu ulicy jest przystanek autobusowy. Gorąca woda w wannie jednak tak bardzo ją kusiała, że postanowiła spędzić w niej parę minut, a potem pojechać do domu.

Jednak wyrzała z łazienki dopiero po upływie godziny. Na kłamce po drugiej stronie drzwi znalazła sztruksowe spodnie i kraciatą koszulę, które najwyraźniej należały do Bena.

Ze smutkiem stwierdziła, że spodnie leżą na niej idealnie. Musiała tylko podwinąć zbyt długie nogawki. To, że koszula była o wiele za duża, nie rekompensowało faktu, że rozmiarem bioder dorównywała Benowi. Widząc swe odbicie w lustrze, lekko się skrzywiła, a potem wyszła z łazienki na korytarz.

Była ciekawa, jak wyglądają pomieszczenia na piętrze. Czy mają dębową podłogę i małe witrażowe okna, tak jak pokoje na dole, czy też zostały zmodernizowane? Nie bądź wścibska, upomniała się w duchu. Ale przecież jeden rzut oka nikomu nie zaszkodzi, uznała, cicho otwierając drzwi do jednego z pomieszczeń, które okazało się pracownią Bena.

Pokój ten zawałony był obrazami i szkicami. Kiedy wzrok jej padł na stojący na sztalugach portret, krzyknęła ze zdumienia. To była jej podobizna. Gdy dokładniej jej się przyjrzała, doszła do wniosku, że z portretu nie patrzy na nią współczesna kobieta, lecz postać z bajki - dziewczyna o niesfornych jasnych włosach, w długiej, zielonej przezroczystej sukni. Sylwetka dziewczyny w niczym nie przypominała jej własnej. Doskonale

wiedziała, że nie ma tak szczupłej talii i bioder, a jeśli chodzi o biust.

- No i co o tym sądzisz? - spytał Ben, stając w progu.

Na dźwięk jego głosu Izzie gwałtownie się odwróciła.

- Nie... chciałam wtykać nosa w nie swoje... daję słowo - wyjąkała. - Drzwi były otwarte, więc...

- Co sądzisz o tym obrazie?

- Czy naprawdę... tak mnie widzisz?

- Gdy opowiedziałś mi tę historię o królowej elfów, wiedziałem, że taką chcę cię namalować - odrzekł. - Nie podoba ci się? - dodał, gdy milczała.

- Ależ skąd! - zawołała pospiesznie. - Chodzi o to, że... zrobiłeś ze mnie przesadnie ładną dziewczynę.

- Namalowałem cię tak, jak cię widzę - powiedział. - No, z wyjątkiem figury - dodał. - To tylko wyobraźnia.

- Jasne - rzekła z uśmiechem zakłopotania. - Obawiam się, że rzeczywistość głęboko by cię rozczarowała.

- Naprawdę? - spytał zmienionym głosem.

Stał tak blisko niej, że czuła bijące od niego ciepło. Wystarczyło, żeby się odwróciła i... Nie, pomyślała. Już raz się skompromitowałam i nie wolno mi tego błędu powtórzyć.

- Lepiej już pójdę - oznajmiła, odsuwając się od niego.

- Naprawdę chcesz iść? - spytał ze zdziwieniem.

- I tak zajęłam ci już sporo czasu...

- Twoje ubranie jeszcze jest w palce.

- Możesz mi je oddać jutro - powiedziała, zbiegając na dół.

Kiedy znaleźli się na dole, Ben zastąpił jej drogę i otworzył drzwi do salonu.

- Izzie, czy mogłabyś na chwilę tu wejść?

- Robi się późno...

- Tylko na minutę. Proszę.

Nie miała ochoty poświęcać mu nawet minuty, lecz uległa błagalnemu spojrzeniu Bena i weszła do salonu.

- Co stało się z tym obrazem? - spytała, widząc puste miejsce nad kominkiem.

- Doszedłem do wniosku, że nie wygląda tu dobrze.

Ona uważała, że nigdzie nie wyglądałby dobrze, ale zachowała tę uwagę dla siebie. Zaczekała, aż Ben usiądzie na kanapie, a potem przycupnęła na stojącym daleko krześle.

- Izzie, chcę ci opowiedzieć o Caroline - rzekł po chwili milczenia.

- Nie musisz - odparła, nie chcąc słyszeć o tym, jaka cudowna była jego żona. - Wiem, że bardzo ją kochałeś...

- Kochałem ją? - zawołał, wybuchając gorzkim śmiechem.

- No tak. W istocie jakaś moja część nadal ją kochała, nawet wtedy, kiedy ona i jej kochanek zginęli w wypadku.

- Jej kochanek? - powtórzyła. - Sądziłam...

- Na początku wszyscy znajomi tak uważali. - Pokiwał głową, uśmiechając się ironicznie. - Szczęściarz z tego Bena, że ma taką cudowną, młodą żonę, która czeka na niego w domu. Ale niebawem zaczęli o mnie mówić „biedny Ben”, bo odkryli, że Caroline nigdy nie było w domu, ponieważ spotykała innych mężczyzn.

Widząc na jego twarzy grymas bólu, szybko do niego podeszła.

- Ben, nie musisz mi o tym opowiadać - wyszeptała. - Nie muszę wiedzieć...

- Owszem, musisz, ponieważ chcę, żebyś zrozumiała.

Usiadła obok niego.

- Moi przyjaciele próbowali mi powiedzieć, co się dzieje - ciągnął - ale ja nie chciałem w to uwierzyć. Moja piękna, cudowna Caroline nie mogła przecież postępować nielojalnie, ale kiedy związała się z moim zastępcą, nawet ja nie byłem w stanie dłużej udawać.

- Czy to właśnie on zginął w tym wypadku?

Ben kiwnął głową.

- Wracali z jakiegoś przyjęcia, a John był pijany. Na zakręcie stracił panowanie nad kierownicą i samochód uderzył w poręcz mostu. On zginął na miejscu, a Caroline umarła trzy dni później. Sekcja zwłok wykazała, że była w ciąży. Nie, dziecko nie było moje. Ona od dłuższego czasu nie chciała... nie pozwalała mi się dotknąć.

- Och, Ben, dlaczego się z nią nie rozwiodłeś? - spytała. Pragnęła wyciągnąć rękę, by go pocieszyć, bała się jednak to zrobić. - Kiedy poznałeś prawdę, dlaczego po prostu jej nie porzuciłeś?

- Bo... nie chciałem przyznać się przed sobą do tego, co wszyscy już wiedzieli: że jako mąż byłem do niczego. Gdybym się z nią nie ożenił, nie zawiódł jej, żyłaby do dziś.

- Więc zmusiłeś ją do małżeństwa? - spytała. - Siłą zaciągnąłeś ją przed ołtarz?

- Prawdę mówiąc, wzięliśmy ślub w urzędzie stanu cywilnego - odrzekł, lekko wykrzywiając usta.

- Och, przecież nie o to mi chodzi. Nie można zmusić kobiety do ślubu, jeśli ona sama tego nie chce.

- Mimo wszystko nie powinienem był się z nią zenić. Myliłem się, myśląc, że kobieta taka jak ona może zaznać szczęścia z takim człowiekiem jak ja.

- Ale...

- Izzie, nie chcę, żebyś mi współczuła - przerwał jej szorstko. - Miałem dość litości ze strony przyjaciół i wystarczy mi jej do końca życia. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że byłem kiepskim mężem i potem nieczęsto wdawałem się w romanse, ale ilekroć widzę ciebie...

Nagle ujął jej twarz w dłonie. Starała się nie reagować, mając w pamięci wydarzenia tamtego wieczoru. Kiedy przeciągnął delikatnie palcem po jej wardze, zerwała się z miejsca.

- Chyba... powinnam już iść - wyjąkała. - Robi się późno...
- Izzie, czy nie mogłabyś zostać?

Powiedział to tak cicho, że ledwie dosłyszała w jego głosie błagalną nutkę. Zastanawiała się, czy dobrze go rozumiała.

- Chciałbyś, żeby ktoś dotrzymał ci towarzystwa?
  - Izzie, jeśli chcesz wracać do domu, odwiozę cię, ale ja...
- Urwał, a potem spojrzał jej prosto w oczy. - Isabello, źle cię potraktowałem i wiem, że nie mam prawa cię o to prosić, ale... chcę się z tobą kochać.

Nie wyznał jej miłości, nie obiecał wspólnej przyszłości, ale w tej chwili było jej to zupełnie obojętne.

- Zostanę - wyszeptała.

Odniosła wrażenie, że odetchnął z ulgą.

- Izzie, jest jeszcze coś, o czym powinnaś wiedzieć - rzekł półgłosem. - Ja... od dawna tego nie robiłem.
- Ja też muszę ci coś wyznać. Nie jestem największym na świecie ekspertem w tych sprawach, więc może... moglibyśmy sobie pomóc?

I tak też się stało. Wspólnie się rozebrali i weszli do łóżka. Potem z wolna poznawali swe ciała, pieszcząc się i doprowadzając do rozkoszy. A kiedy kilkanaście minut później nastąpiła kulminacja, Izzie nie wiedziała, czy na jej piersi spadają łzy Bena, czy też krople potu. Gdy leżała w jego ramionach, mocno do niego przytulona, myślała tylko o jednym - że kocha tego mężczyznę i zawsze będzie go kochała.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Może to jednak jest możliwe, pomyślał, odgarniając kosmyk włosów z czoła Izzie. Może ludzie istotnie dostają drugą szansę? Nie wierzył, że mogłoby to przytrafić się właśnie jemu, dopóki po przebudzeniu tego ranka nie zobaczył obok siebie Izzie. Patrząc na nią, lekko się uśmiechnął. Po raz pierwszy od lat nie śniła mu się Caroline, nie dręczyło go poczucie winy, a wszystko to dzięki tej kobiecie, która nie była co prawda tak olśniewająco piękną jak Caroline, lecz była uczciwa, szczerą i naturalną.

Zerknął na zegar, który stał na nocnej szafce. Mają przed sobą jeszcze całą godzinę, którą można by spędzić w znacznie miłszy sposób, niż wspominając Caroline. Delikatnie zsunął kołdrę, chcąc znów spojrzeć na wspaniałe ciało Izzie.

- Obudź się, śpiochu - wyszeptał, głaszcząc jej ramię.  
- Coś się stało? - wymamrotała, powoli otwierając oczy.  
- Nie. Po prostu rozmyślałem. Jak na parę amatorów, zupełnie nieźle daliśmy sobie radę, prawda?

- Więc nie żałujesz? - spytała z uśmiechem.

- Nie. A ty?

Potrząsnęła głową.

- Jest tylko jedna rzecz...

Ben szybko położył palec na jej ustach.

- Mam ci wiele do powiedzenia, ale w tej chwili.

- Jest na to za wcześnie? - Spojrzała na niego pośepnie.

Kiwnął głową.

- Po odejściu Caroline czułem się okropnie oszukany, więc

nie jest mi łatwo zaufać kobiecie. Nie myśl jednak, że ta noc była wynikiem zwykłego pożądania - dodał, widząc na jej czole lekką zmarszczkę. - Po prostu z Caroline wszystko było tak szybko i nerwowo, że teraz nie chcę się spieszyć.

- Rozumiem - mruknęła.

- Ty chyba też nie chcesz się spieszyć, prawda? - zapytał, przyglądając się jej twarzy. - Po związku ze Steve'em musisz mieć absolutną pewność.

Pragnęła mu powiedzieć, że nigdy w życiu nie była niczego tak bardzo pewna, i że miłość, jaką go darzy, w niczym nie przypomina jej uczuć do Steve'a. Powstrzymała ją jednak od tego obawa, że Ben może poczuć się zbytnio do czegoś zobowiązany.

- Dobrze, nie będziemy się spieszyć - wyszeptwała.

- Masz piękne włosy - powiedział, głaszcząc ją po głowie.

- To była pierwsza rzecz, na którą zwróciłem uwagę.

- Naprawdę? - spytała niepewnie. - A co było drugą?

- Twoje oczy, które miotały we mnie pioruny, i język, który nazwał mnie głupcem - wyjaśnił z uśmiechem.

- Och, przestań - jęknęła, kryjąc twarz w jego ramieniu.

- To, co ci powiedziałam...

- Zarzucano mi znacznie gorsze rzeczy - przyznał. - A co we mnie zwróciło twoją uwagę?

- Twój wzrost, potem miły uśmiech, a później... - dotknęła włosów na jego piersi - okropnie długo zastanawiałam się nad tym, czy one są tak miękkie, na jakie wyglądają.

- I co?

- Są bardzo miękkie - powiedziała i, jakby dla potwierdzenia swych słów, pocałowała go, a potem uśmiechnęła się do siebie, czując jego podniecenie. - Która godzina? - spytała, patrząc na niego wzrokiem niewiniątka.

- Kilka minut po szóstej.

- Musimy być w szpitalu dopiero o ósmej - mruknęła - a to oznacza, że możemy jeszcze chwilę pospać albo...

- Albo co? - zapytał cicho.

- Albo zjeść wczesne śniadanie - odparła, spoglądając na niego z przewrotnym błyskiem w oczach.

- Śniadanie? Zapomnij o tym. Mam lepszy pomysł.

- Naprawdę? Jaki?

W odpowiedzi przyłgnął do niej całym ciałem.

- Znowu? - spytała z udawanym zdziwieniem.

- Nie sądzisz, że to jest znacznie przyjemniejsze niż sen czy śniadanie? - wyszeptał, całując jej ramię.

- O tak - wyszeptała, obejmując go za szyję. - Na pewno tak - dodała, kiedy jego palce zaczęły powoli wędrować po jej ciele.

- Cholera! - zaklął, kiedy rozległ się ostry dźwięk pagera.

- Niestety, to jeden z niekorzystnych aspektów zawodu lekarza - westchnęła, gdy Ben niechętnie się od niej odsunął.

- Ale czy musi nas to spotykać akurat teraz? - westchnął, podnosząc słuchawkę i nakręcając numer szpitala.

Rozmowa była krótka i rzeczowa, toteż Izzie od razu zorientowała się, że sprawa jest poważna.

- Bóg raczy wiedzieć, kiedy wrócę - powiedział Ben, wstając. - Może to nie potrwać zbyt długo, ale kiedy w grę wchodzi wypadek drogowy... - Urwał i zmarszczył czoło. - Chwileczkę. Jeśli ja wezmę samochód, to jak dostaniesz się do domu?

- Pojadę autobusem.

- Autobusem! - zawołał. - To niezbyt romantyczne. Dzięki tobie spędziłem najwspanialszą noc w moim życiu, a teraz ty masz wracać do domu autobusem?

Zawtórował jej, gdy zaczęła się śmiać.

- Obiecuję, że jakości to wynagrodzę-oświadczył.

- Czy to znaczy, że następnym razem będziemy mieli kawior i szampana?

- Cokolwiek zechcesz - odparł, pocałował ją w czoło, a potem wstał z łóżka.

Nie mogła oderwać od mego oczu. Choć w ubraniu zawsze wyglądał wspaniale, jego nagość wywarła na niej ogromne wrażenie. Ben, czując na sobie jej spojrzenie, nagle się odwrócił.

- To nieuczciwe, Isabello - oświadczył.

- Teraz już wiesz, co czuje kobieta, kiedy mężczyzna patrzy na nią pożądliwie - odrzekła prowokująco.

- Czy ty właśnie to robisz?

- Oczywiście! - Przesunęła językiem po górnej wardze.

- Izzie, na litość boską, przestań.

- Dlaczego?

- To chyba rzuca się w oczy, nie sądzisz? - Jego podniecenie było tak wyraźne, że się zaczerwieniła. - No właśnie - mruknął, kiwając głową. - Więc daj mi chwilę wytchnienia, dobrze?

Posłusznie utkwiała wzrok w suficie, czekając, aż Ben się ubierze. Kiedy w końcu pocałował ją na pożegnanie i wyszedł, zwinęła się w kłębek i zaczęła rozmyślać. Kochali się dwukrotnie i za każdym razem było cudownie. Czuła się szczęśliwa i kochana. To prawda, Ben jeszcze nie wyznał jej miłości, ale gdyby ta noc miała się powtarzać, była gotowa przystać na wszystko. Uśmiechnęła się przewrotnie.

Zerknęła na zegar i westchnęła cicho. Nadal było dość wcześnie, ale ponieważ nie znała rozkładu jazdy autobusów, doszła do wniosku, że pora wstawać. Szczerze mówiąc, tego ranka mogłaby z powodzeniem wrócić do domu nawet pieszo.

- Czy musisz być taka wesoła? - mruknęła gniewnie Fran, gdy Izzie zaczęła nucić pod nosem jakąś melodię. - Jest jedynasta, mamy ruch jak w sobotę po zamknięciu pubów, a ty jesteś tak cholernie wesoła, że aż robi się niedobrze.

- Przepraszam - rzekła Izzie z szerokim uśmiechem, którego Fran nie odwzajemniła. Kiedy Izzie uważniej jej się przyjrzała, doszła do wniosku, że koleżanka źle wygląda. - Czy dobrze się czujesz, Fran? - spytała z niepokojem.

- Jasne. Po prostu mam zły dzień.

- Ale...

- Poza rym podejrzewam, że dzisiaj nasi pracownicy nie znieśliby kolejnej wesołej twarzy - ciągnęła Fran z kwaśnym uśmiechem. - Ty, Steve i doktor FarreU chyba zorganizowaliście sobie tutaj jakiś zjazd wesołków.

- Więc Steve jest w dobrym nastroju? - spytała Izzie.

- Jak człowiek, który wygrał właśnie los na loterii.

Izzie ucieszyła się, ponieważ przez kilka ostatnich tygodni Steve chodził dziwnie pochmurny. Z westchnieniem ulgi wzięła plik dokumentów, które podała jej Aprii.

- Izzie, czy mógłbym z tobą chwilę porozmawiać? - spytał Steve, niespodziewanie stając za jej plecami.

Kiedy się odwróciła, dostrzegła na jego twarzy podniecenie.

- Mów, o co chodzi - rzekła z uśmiechem.

Steve już zamierzał coś powiedzieć, gdy ujrzał sanitariusza pchającego wózek, na którym siedziała tęga kobieta.

- Porozmawiamy później, dobrze? - mruknął. - Jak się pani nazywa? - spytał pacjentkę.

- Susan Wallace - odparła kobieta, krzywiąc z bólu usta.

- Co pani dolega, pani Wallace? - ciągnął Steve, a Izzie pomogła jej wstać i wejść do izby przyjęć.

- Okropny ból. Zaczął się w plecach przed dwoma godzinami, a teraz jakby przeniósł się tutaj - wyjaśniła, wskazując okolicę pachwiny.

Izzie pomogła jej zdjąć spódnice.

- Czy miała pani nudności? - spytał Steve, wyjmując stetoskop.

- Dwukrotnie. Raz w domu i raz w samochodzie.
- Czy ból jest stały, czy też pojawia się i znika? - ustalał Steve, podczas gdy Izzie mierzyła choremą ciśnienie krwi.
- Pojawia się i znika. Och, doktorze, czy nie mógłby mi pan dać czegoś, co by go złagodziło?
- Za chwilę, ale najpierw musimy znaleźć jego przyczynę. Czy miała pan ostatnio jakieś kłopoty przy oddawaniu moczu?
- Owszem, miałam pewne trudności...
- Podejrzewam, że może pani mieć kamień nerkowy - oznajmił po zbadaniu chorej. - Potwierdzi to próbka moczu, ale obawiam się, że będzie pani musiała zostać w szpitalu.
- Czy to oznacza, że trzeba mnie operować? - spytała pacjentka z przerażeniem.
- W dzisiejszych czasach nie operuje się już kamieni nerkowych - wyjaśnił. - Na początek podamy pani duże ilości płynów, które samoistnie powinny wypłukać go z pani nerki. Gdyby tak się nie stało, możemy go usunąć w miejscowym znieczuleniu, wprowadzając do pęcherza bardzo wąskie narzędzie do rozbijania kamieni. Ten zabieg nazywa się cystoskopia.
- Nieważne, jak się nazywa - jęknęła pacjentka - byle tylko uwolniło mnie to od tego bólu.
- W porządku, pani Wallace - powiedział Steve, robiąc notatki. - De pani waży?
- De ważę? - powtórzyła ze zdumieniem.
- Tak. Proszę podać mi swoją wagę, dobrze?
- Hmm... około sześćdziesięciu pięciu kilogramów - odparła, lecz kiedy Steve zmarszczył brwi z niedowierzaniem, szybko dodała: - No dobrze, niech będzie, że prawie siedemdziesiąt pięć. A doskonale wiem - dodała, widząc, że Steve otwiera już usta - że powinnam przejść na dietę.
- Doktor Melville zadał pani to pytanie nie ze zwykłej ciekawości - wyjaśniła Izzie. - Chodzi o to, że stosowane przez

nas środki przeciwbólowe są bardzo silne, a ich dawka zależy od wagi pacjenta. Przedawkowanie takiego środka może być niebezpieczne.

- Zatem nie wolno okłamywać lekarza, kiedy pyta o wagę - oznajmiła pani Wallace, krzywiąc się lekko z bólu, gdy Steve robił jej zastrzyk domięśniowy.

- Zgadza się - przytaknęła Izzie z uśmiechem, po czym odeśiali pacjentkę na oddział szpitalny.

- Czy masz teraz wolną chwilę, Izzie? - spytał Steve.

- Owszem, a co?

- Nie tutaj - odparł tajemniczo, wprowadzając ją pospiesznie do podręcznego magazynu leków. Gdy zamknął drzwi, skarciła go wzrokiem i natychmiast je otworzyła.

- Steve, jeśli to jakiś kawał...

- Skądże! - przerwał jej, a jego oczy zalśniły. - Po prostu chciałem, żebyś ty pierwsza się o tym dowiedziała. Dziś rano dostałem wyniki egzaminów i nie tylko je zdałem, ale zdałem je z wyróżnieniem.

- Och, Steve, to cudownie! - zawołała, ściskając go z radości, ale kiedy tylko go objęła, on nagle mocno ją przytulił i zaczął namiętnie całować.

- Dlaczego to zrobiłeś? - spytała z mieszaniną gniewu i rozbawienia, kiedy zdołała w końcu się wyzwolić z jego objęć.

- Żeby przypomnieć ci, co straciłaś - wyjaśnił wesoło.

Usiłowała zachować powagę, lecz nie była w stanie powstrzymać wybuchu śmiechu.

- Jesteś niemożliwy! - zawołała.

- Wiem o tym - przyznał z zadowoloną miną. - W dodatku te egzaminy nie są jedyną wiadomością, jaką mam dla ciebie, Izzie. Dostałem posadę w Metcalfe.

- W Metcalfe? - wyszeptwała, wiedząc, że jest to nazwa jed-

nej z najbardziej prestiżowych klinik w Londynie. - Ale kiedy? Jak do tego doszło?

- Trzy tygodnie temu wysłałem do nich podanie z prośbą o pracę, a oni wyrazili zgodę pod warunkiem, że zdam te egzaminy. Za miesiąc przenoszę się do Londynu. Jedź ze mną, Izzie.

- Co takiego? - wyjąkała. - Ależ, Steve, nie mogę...

- Możesz - nalegał. - W Metcalfe chętnie przyjmą kogoś z twoim doświadczeniem. Zastanów się nad tym, Izzie. Mieszkałybyś w tętniącej życiem stolicy.

- Nie byłabym tam szczęśliwa, Steve - odparła, wyobrażając sobie hałas, tłumy i poczucie wyobcowania. - Jestem dziewczyną z prowincji.

- Ale byłabyś ze mną - powiedział czule, a ona westchnęła.

- Steve...

- Przecież przeżyliśmy razem wiele miłych chwil, prawda?

- Owszem - przyznała, nie mogąc temu zaprzeczyć.

- I moglibyśmy przeżyć ich jeszcze więcej - ciągnął, nie odrywając od niej wzroku.

- To niemożliwe - zaprzeczyła łagodnie, nie chcąc go zranić, ale równocześnie wiedząc, że nie ma wyjścia. - My nie pragniemy już tego samego. I sądzę, że zawsze tak było.

- Bzdura! - zawołał. - Wymagam od życia tylko tego, czego chce każdy człowiek... żeby było zabawne.

Spojrzała na niego z zadumą.

- A co robisz, kiedy przestaje być zabawnie? - spytała.

- Idę dalej naprzód, próbuję czegoś innego.

- Albo kogoś innego? - zasugerowała. - Przykro mi, Steve.

Dziękuję za propozycję i za to, że o mnie pomyślałeś, ale nie mogę z tobą jechać.

- To przez Farrella, prawda?

- Lubię go... - przyznała, mimowolnie się czerwieniąc.

- Sądziłem, że on spotyka się z tym uosobieniem seksu.



- Uosobieniem seksu?
- Mam na myśli tego rudzielca o zielonych oczach.
- Ben spotkał się z Joanną tylko raz - rzekła ze śmiechem.
- Ja słyszałem zupełnie coś innego.
- Nie obchodzi mnie, co słyszałeś! Ja to wiem.
- Skoro tak mówisz - mruknął i odwrócił się, by odejść, ale potem przystanął. - Powiedz mi tylko jedno, Izzie. Co jest w nim takiego, czego nie mam ja?

- Nie zrozumiałbyś tego.
- Zaryzykuj.

Patrzyła na niego przez chwilę, a potem lekko się uśmiechnęła.

- Czy uwierzyłybyś, że ma w sobie wiele dobroci?

Obrzucił ją zdumionym wzrokiem, a potem wzruszył ramionami.

- W porządku. Jeśli nie chcesz mi powiedzieć, to nie mów.
  - Przecież właśnie to zrobiłam.
  - Jasne, ale opowiadaj to komu innemu - mruknął kpiąco.
- Życzę ci szczęścia, ale mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

Doskonale wiem, pomyślała, wychodząc za nim z magazynu. Nigdy dotąd nie była niczego tak bardzo pewna. Pragnęła tylko podzielić się z kimś swym szczęściem, lecz wiedziała, że nie wolno jej tego zrobić. Jeszcze nie teraz.

- Poczekałnia jest pełna pacjentów, siostrzo Clark - oznajmił nagle Ben - a siostra tu stoi i buja w obłokach.

- Słucham? - spytała, podnosząc na niego zdumione oczy.
- Jeśli nie ma siostra nic lepszego do roboty - ciągnął chłodno - to zapraszam do izby przyjęć.

O co, do diabła, mu chodzi? - zastanawiała się, gdy odszedł. Od rana po raz pierwszy się do niej odezwał. Nie oczekiwała od niego specjalnego traktowania, ale na pewno nie spodziewała się, że zostanie zbesztana.

Może ma zły dzień, pomyślała, pomagając mu uspokoić przerażonych rodziców trzyletniego dziecka, które połknęło jakieś środki nasenne. Później doszła do wniosku, że może po prostu stara się być dyskretny, ale po południu, kiedy każde jej słowo zbywał złośliwymi półsłówkami, nawet ona musiała przyznać, że istnieje ogromna różnica między dyskrecją a grubiaństwem. Nie mogła zrozumieć, dlaczego ten mężczyzna, który jeszcze tak niedawno szeptał jej czułe słówka, teraz traktuje ją z takim lekceważeniem.

- Mam tu dla siostry pacjentkę - oznajmił sanitariusz, przezywając jej rozmyślania.

- Och, pani Anderson! - zawołała Izzie z przerażeniem. - Czyżby znów pani upadła?

- Nie - odparł towarzyszący jej wysoki mężczyzna - ale naprawdę musicie coś zrobić z jej ręką, siostró. Moja żona, Grace, jest w stanie znieść znacznie silniejszy ból niż ja, ale ten ostatni tydzień...

- To istny koszmar - dokończyła płacząco pani Anderson. - Wiem, że doktor kazał mi tu przyjść tylko wtedy, kiedy poczuję mrowienie lub zsinieją mi palce, ale ja po prostu nie mogę znieść tego bólu.

- Czy ten ból jest kłujący, czy jednostajny? - spytała Izzie, widząc, że twarz pacjentki pokrywają kropelki potu.

- Mam wrażenie, że ktoś nieustannie wbija we mnie rozżarzony pogrzebacz - odparła drżącym głosem.

- Proszę się nie denerwować - powiedziała Izzie uspokajająco, widząc łzy w oczach kobiety. - Zaraz zawołam lekarza. Jestem pewna, że szybko poczuje się pani lepiej.

Jednakże zarówno Ben, jak i Steve byli zajęci. Ponieważ wyglądało na to, że potrwa to jakiś czas, a Izzie nie chciała przedłużać cierpienia pacjentki, pospiesznie wezwała stażystkę.

- Tess, zabierz panią Anderson do gipsiarni. Może mieć

ucisk na nerw albo inne złamanie. Żeby odkryć przyczynę bólu, trzeba zdjąć gips.

Tess kiwnęła głową i już zamierzała odejść, gdy nagle się zawahała.

- Siostrzyczko, czy mogę prosić o chwilę rozmowy? - wybąkała.

- Co mogę dla ciebie zrobić?

- Nie chodzi o mnie - odparła Tess, zniżając głos. - Chodzi o siostrę Walton. Siedzi w pokoju dla personelu i płacze.

Izzie spojrzała na nią z niedowierzaniem, wiedząc, że Fran nigdy się nie roztkliwia. Kiedy jednak chwilę później ujrzała Fran, ta wręcz zalewała się łzami.

- To przez Davida Rentona - wyszlochała w odpowiedzi na pytanie Izzie. - Tego strażaka, który został ranny w czasie pożaru. Przed godziną dowiedziałam się, że umarł.

- Znałaś go? - spytała Izzie.

- Czy go znałam? - zawołała Fran z rozpaczą w głosie. - On był drużbą na naszym ślubie. On i jego żona, Rhona, należą do naszych najbliższych przyjaciół. A najgorsze jest to, że... przez cały czas dziękuję Bogu, że to nie Jim.

- Och, Fran...

- Czuję się okropnie winna. Oni mają dwóch synków, a ja myślę tylko o sobie. Cóż ze mnie za człowiek?

- Fran, przestań - powiedziała Izzie stanowczo. - To, co czujesz, jest całkiem normalne. Niezależnie od tego, jak bardzo się z kimś przyjaźnisz, twój mąż i rodzina zawsze będą dla ciebie najważniejsi. Taka już jest natura człowieka.

- Więc nie uważasz mnie za potwora bez serca? - wyjąkała Fran.

- Oczywiście, że nie - odrzekła Izzie. - Gdybym kogoś naprawdę kochała, to pewnie uważałabym, że cały świat może lec w gruzach, byleby tylko nie ucierpiała ta osoba.

- Mówisz poważnie? - wyszeptała Frań z zadumą, zapominając chwilowo o własnym nieszczęściu.

- Najzupełniej. A teraz umyj twarz, weź się w garść i wypij filiżankę herbaty.

- Ale jest tyle pracy...

- Damy sobie radę.

- Ale...

- Rób, co ci mówię - poleciła Izzie z udawaną surowością i włączyła czajrdk, a potem udała się do izby przyjąć.

- Chciałbym z siostrą chwilę porozmawiać - oznajmił Ben.

Nie ty pierwszy dzisiaj mnie o to prosisz, pomyślała z uśmiechem, który natychmiast zniknął, kiedy odwróciła się do Bena i zobaczyła jego twarz.

- O co chodzi? - zapytała.

- Kto polecił zdjąć gips pani Anderson?

- Nikt, ale myślałam, że...

- Nie płacą siostrze za myślenie.

- Co powiedziałaś? - spytała ze zdumieniem.

- To, co siostra słyszała - ciągnął ze złością. - Płacą siostrze za opiekę nad pacjentami, a nie za stawianie diagnoz.

Choć jego niesprawiedliwa uwaga dotknęła ją do żywego, buntowniczo uniosła głowę.

- Przykro mi, że twoim zdaniem przekroczyłam swoje kompetencje, ale zarówno ty, jak i Steve byliście zajęci, a pani Anderson bardzo cierpiała. A co ty byś zalecił?

- Nie o to chodzi - mruknął, lekko się czerwieniąc.

Jasne, że nie o to, pomyślała z rozdrażnieniem. Przecież oboje doskonale wiemy, że gdybyś nie był wtedy zajęty, zleciłbyś mi zdjęcie gipsu.

- Wiec o co? - Ton jej głosu stał się chłodny.

- Gdzie podziała się siostra Walton? - spytał, zmieniając temat.

- Jest bardzo przygnębiona. Kazałam jej napić się herbaty.  
- Ach tak, herbata! - mruknął z przekąsem. - To najwyraźniej uniwersalny środek na wszelkie dolegliwości. Kiedy już nacieszy się tą herbatą, ma natychmiast wrócić do swych obowiązków.

- Wróci, jeśli uznam, że się do tego nadaje - odparła stanowczo. - Fran dowiedziała się właśnie o śmierci swego serdecznego przyjaciela, sądzę więc, że nawet ty możesz pozwolić jej na chwilę samotności.

Ben spurpurowiał.

- Przepraszam, nie wiedziałem...  
- Więc może w przyszłości pomyślisz, zanim wyciągniesz pochopne wnioski.

- Na twoim miejscu nie pouczałbym tak ludzi.

- Co to, do diabła, ma znaczyć?

Ben nawet nie raczył jej odpowiedzieć. Gwałtownie otworzył drzwi i ruszył w stronę rejestracji. Izzie zaś miała już tego dość. Doszła do wniosku, że nie będzie tego znosić.

- Żądam od ciebie wyjaśnień, i to natychmiast - oznajmiła, doganiając go przy wyjściu. - Co się, do cholery, dzieje?

- Co się dzieje? - powtórzył, unosząc brwi.

- Doskonale wiesz, o co mi chodzi. Wczoraj... dzisiaj rano mówiłeś, dawałeś mi do zrozumienia, że...

- Dziwi mnie, że mimo wszystko jeszcze to pamiętasz - przerwał jej ostro. - Czy przypadkiem nie gubisz się w tych swoich romansach?

Przez chwilę patrzyła na niego z zakłopotaniem.

- Odpowiedź na to pytanie byłaby poniżej mojej godności, zwłaszcza że nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Więc pozwól, że cię oświecę - oznajmił. - Możesz mnie nazwać człowiekiem staromodnym, ale mam pewne zasady, a one najwyraźniej różnią się od twoich. Jak miałem się poczuć,

kiedy zobaczyłem cię w ramionach innego mężczyzny zaledwie kilka godzin po spędzeniu ze mną nocy?

- W ramionach innego mężczyzny? - powtórzyła, a potem nagle zrozumiała, co się stało. Ben musiał widzieć, jak Steve ją obejmuje, i pomyślał... - O Boże! To nie to, co podejrzewasz. Ja po prostu gratulowałam Steve'owi zdanych egzaminów.

- Czyżby? - mruknął kpiąco. - Więc może powinienem również zdać kilka egzaminów, żeby zasłużyć na taką nagrodę.

- Ben, ty nic nie rozumiesz - powiedziała, pąsowiejąc z gniewu. - Znów wyciągasz pochopne wnioski...

- Przeciwnie - rzekł twardo. - Właśnie zaczynam wszystko rozumieć. Ta ostatnia noc była po prostu próbą wzbudzenia jego zazdrości, prawda?

- Ależ skąd! - zawołała z rozpaczą. - Jak możesz tak myśleć?

- Miałem świetną nauczycielkę - odparł z przekąsem. - Caroline stosowała dokładnie takie same sztuczki, a uwierz mi, że w porównaniu z nią jesteś żalosną amatorką.

- Ben, posłuchaj...

- Istnieje coś takiego jak zaufanie, Izzie.

- Też tak uważam - odparła - ale tobie najwyraźniej bardzo zależy na tym, by mnie osądzić i uznać za winną.

- A czego ty się, do cholery, spodziewałaś po tym, jak zobaczyłem cię w ramionach Steve'a?

- Myślałam, że pozwolisz mi wszystko wyjaśnić.

Ben patrzył na nią przez chwilę z mieszaniną niepewności i podejrzliwości, a potem gniewnie zacisnął zęby.

- Przykro mi, Izzie, ale przeżyłem to już z Caroline i nie zamierzam tego powtarzać. A teraz muszę iść. Mam randkę.

- Randkę? - powtórzyła słabym głosem.

Gestem ręki wskazał jej parking, na którym dostrzegła stojącą obok jego samochodu znajomą postać.

- Umówiłeś się z Joanną? - wykrztusiła.
- Ona przynajmniej nie udaje, że jest kimś innym - odrzekł posepnie, widząc w jej oczach ból. - Ona przynajmniej nie ukrywa swoich prawdziwych zamiarów.

Izzie patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, a potem potrząsnęła głową.

- Jeśli w to wierzysz, to jesteś naprawdę skończonym głupcem - mruknęła, a potem odwróciła się i odeszła.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Chce pani ostrzyć się na pazia? - spytała fryzjerka z przerażeniem, patrząc na twarz Izzie odbitą w lustrze.

- Tak.

- Ale pani włosy są kręcone. Nie będą się dobrze układały.

- Nie zależy mi na tym.

- A może zostawić nieco dłuższe, takie do ramion?

- Nie. Proszę ostrzyć je bardzo krótko. Dotąd - oznajmiła Izzie, przykładając dłoń do ucha. - Na pazia.

- Ale proszę pani...

- Proszę je obciąć - powtórzyła kategorycznym tonem, więc fryzjerka z westchnieniem sięgnęła po nożyczki.

Kiedy weszła do pokoju dla personelu tuż przed rozpoczęciem swego sobotniego nocnego dyżuru, jeden rzut oka na zdumioną minę Fran potwierdził jej najgorsze podejrzenia.

- Wyglądam okropnie, prawda? - spytała.

- Ależ skąd - skłamała Fran. - Po prostu inaczej.

- Paskudnie - mruknęła Izzie, spoglądając posępnie na swe odbicie w lustrze. - Fryzjerka uprzedzała mnie, że moje włosy nie nadają się do takiej fryzury. Nie podejrzewałam jednak, że będą tak sterczały, jakbym wsadziła palec do gniazdka elektrycznego.

Fran wybuchnęła śmiechem, ale na widok załosnej miny Izzie taktownie udała, że kaszle.

- Może pomogłaby odrobina pianki albo żelu... - poradziła.



- Szczerze mówiąc, jedynym rozwiązaniem byłaby chyba papierowa torba - jęknęła Izzie, szarpiąc nerwowo końce włosów, daremnie próbując je wydłużyć.

- Skąd, do diabła, przyszedł ci do głowy taki pomysł? - spytała Fran. - Po tym nieszczęsnym jeżu pięć lat temu przysięgałaś, że już nigdy nie zetniesz krótko włosów.

Bo moje włosy są jedyną rzeczą, którą zachwycał się Ben, odparła Izzie w myślach. Bo ilekroć spoglądałam w lustro, wyobrażałam sobie jego dłonie, które je gładzą. Bo w jakiś idiotyczny, masochistyczny sposób mam nadzieję, że przerazi go ich widok.

- Musiałam coś zmienić - wyjaśniła koleżance.

- Ciekawe, jak na tę zmianę zareaguje doktor Farrell - rzekła Fran, spoglądając na nią z zadumą.

- Guzik mnie to obchodzi - mruknęła Izzie opryskliwie.

- To nie jego sprawa.

- Skoro tak uważasz... - odparła Fran z westchnieniem.

- Owszem. - Izzie zdawała sobie sprawę z tego, że nieco się unosi. - A teraz zabierzmy się do pracy - dodała pospiesznie.

- Dochodzi ósma, a nie chciałabym się spóźnić.

Wychodząc z pokoju dla personelu, doszła jednak do wniosku, że wcale nie zależy jej na punktualności. Kiedyś przychodziła do pracy z przyjemnością, ale to się skończyło. Od jakiegoś czasu każdego dnia marzyła tylko o tym, by jej dyżur jak najszybciej dobiegł końca. I pomyśleć, że to wszystko z powodu Bena, który od dwóch tygodni wyraźnie ją ignorował.

- Izzie!

No cóż, pomyślała, to przynajmniej jakiś postęp w porównaniu z „siostrą Clark”, jak mnie ostatnio nazywał. Spojrzała na zbliżającego się do niej Bena, którego mina była właśnie taka, jaką chciała zobaczyć.

- Twoje włosy! Coś ty z nimi zrobiła?

- Podoba ci się? - spytała, obracając się wokół własnej osi.
- Dlaczego to zrobiłaś, Izzie?
- A dlaczego nie? - zawołała prowokacyjnie, ale Ben nie podjął wyzwania.

Spojrzała na niego i zauważyła, że jest bardzo zmęczony. No pewnie, pomyślała ironicznie, przecież spotyka się z Joanną, a ona z pewnością nie pozwala mu się wysypiać.

- Posłuchaj, nie muszę ci się z niczego tłumaczyć - oznajmiła. - To moje włosy i mogę z nimi robić, co tylko chcę. Ale dlaczego nie powiesz mi wprost, że ci się nie podobają?

- Bo to nieprawda. - Uśmiechnął się lekko. - Nie mogę zaprzeczyć, że wolałem, kiedy były dłuższe, ale zawsze będę uważał, że masz piękne włosy, Isabelle

Dlaczego to powiedział? - zastanawiała się, czując przyspieszone bicie serca. Nie chciała, żeby był miły. Chciała, żeby był zły i zdenerwowany.

- Nic mnie nie obchodzą twoje sądy - wycedziła przez zęby i, nie czekając na jego reakcję, szybko ruszyła korytarzem.

Szła wyprostowana, dumnie unosząc głowę, ale gdy tylko znalazła się poza zasięgiem jego wzroku, ramiona jej opadły. Wiedziała, że tak nie może dłużej żyć. Gdyby mogła go znienawidzić, wszystko wyglądałoby inaczej. Niezależnie od tego, jak bardzo ją zranił, nadal go kochała. Doszła do wniosku, że istnieje tylko jedno rozwiązanie. Powinna stąd odejść. Nie może tu pracować i codziennie go widywać, czując, że jej serce rozpada się na kawałki.

Znalezienie pracy nie jest jednak łatwe... Niekoniecznie, pomyślała na widok stojącego nieopodal Steve'a i pośpiesznie do niego podeszła.

- Oczywiście, że mogę załatwić ci pracę w Metcalfe - oznajmił po wygłoszeniu złośliwego komentarza na temat jej włosów. - Wystarczy, żebym podniósł słuchawkę. Ale czy na pewno tego chcesz?

Wahała się przez chwilę, a potem wzięła głęboki oddech.

- Tak - powiedziała stanowczo.

- Wspaniale! - zawołał radośnie. - Przyrzekam ci, że nie będziesz żałowała tej decyzji.

Nie była tego tak bardzo pewna, lecz wiedziała, że nie ma już odwrotu.

Wieczorem myśl o pracy w prywatnej klinice takiej jak Metcalfe wydała jej się znacznie bardziej pociągająca.

- Bóg jeden wie, co będzie się tu działo po zamknięciu pubów - mruknęła Fran, kiedy dochodzące z poczekalni głosy pacjentów wyraźnie się nasiliły.

Izzie uśmiechnęła się do niej ze zrozumieniem. Choć szpital w Kelso nie mógł konkurować pod względem liczby pacjentów z dużą miejską kliniką, w czasie weekendów zawsze panował tu spory ruch, a większość poszkodowanych trafiała do nich z powodu wypadków, których przyczyną było nadmierne spożycie alkoholu.

- Ktoś naprawdę powinien porozmawiać z Mavis - ciągnęła Fran, sprzątając pokój po ostatnim pacjencie. - Znów siedzi w rejestracji, a szczerze mówiąc, nie jest to dla niej odpowiednie miejsce w sobotni wieczór.

Izzie zgadzała się z jej obiekcjami, ale wątpiła, czy Mavis usłucha ich rady. I miała rację.

- Ci młodzi chłopcy wcale mnie nie niepokoją, moja droga - wyjaśniła staruszka, kiedy Izzie wprowadziła ją do małej poczekalni. - Oni są po prostu w doskonałym humorze.

Izzie wiedziała, że choć Mavis wygląda na osobę, którą mógłby zdmuchnąć najśłabszy powiew wiatru, ma żelazną wolę. Wiedziała, że jeśli zacznie przypierać ją do muru, ona z przekory będzie przesiadywać w rejestracji w każdy sobotni wieczór. A poza tym chciała z nią porozmawiać o czymś, co jej zdaniem powinno ją ucieszyć.

- Podobno kiedyś pracowała pani jako pielęgniarka - odezwała się, podając staruszce kawę - więc wspomniałam o pani naszej przedstawicielce Służby Ochotniczej. Ona twierdzi, że brakuje im wolontariuszek do odwiedzania pacjentów, których rodziny mieszkają daleko. Powiedziałam, że pani z pewnością zgłosiłaby się na ochotnika - dokończyła z uśmiechem.

- Możesz to odwołać, moja droga - oświadczyła Mavis.

- Jak to? - spytała Izzie, zbита z tropu. - Myślałam...

- Wiem, co myślałaś - przerwała jej staruszka. - Sądziłaś, że jeśli załatwisz mi pracę, będę miała powód, żeby wstawać rano, czuć się potrzebna i tak dalej. No cóż, przykro mi, że sprawiam ci zawód, ale to nie jest film, w którym na zakończenie dobra pielęgniarka rozwiązuje problemy wszystkich ludzi. To jest rzeczywistość i, choć możesz nie pochwalać mojego trybu życia, lubię żyć tak, jak żyję.

Izzie spurpurowiała.

- Przepraszam. Nie chciałam, żeby pani pomyślała, że wtrącam się w...

- Wiem o tym - mruknęła Mavis, delikatnie klepiąc ją po dłoni. - Jesteś miłą dziewczyną i masz dobre serce...

- Coś pani powiem - przerwała jej Izzie z irytacją. - Mam serdecznie dość ludzi, którzy mówią mi, że jestem miła, zwłaszcza kiedy doskonale wiem, co wtedy o mnie myślą... że mam tyle kobiecego wdzięku co słoń!

Mavis uniosła brwi, a na jej twarzy pojawił się uśmiech.

- Pokłóciłaś się z doktorem Farrellem, prawda? - spytała.

Izzie zamierzała zaprzeczyć, ale widząc, że staruszka uśmiecha się szerzej, dała za wygraną.

- Można to tak ująć. Zdecydował, że bardziej mu odpowiada towarzystwo rudowłosej syreny o urodzie Heleny Trojańskiej i wdzięku dziewczyny z magazynu dla mężczyzn.

- Czy to ta drobna, delikatna kobieta, która tak trzepocze rękami? - spytała Mavis, marszcząc czoło.

- Owszem.

- A ty, niestety, wyglądasz na kobietę bardzo odporną i niezależną. Nie chciałam cię urazić, moje dziecko - dodała pospiesznie, widząc na twarzy Izzie grymas bólu - ale czy nie mogłabyś sprawiać wrażenia osoby bardziej bezradnej i wrażliwej?

- Przy moim wroście? -

- Wiem, co masz na myśli - rzekła Mavis, obrzucając ją krytycznym wzrokiem - ale nie poddawaj się bez walki. Ja to kiedyś zrobiłam, a potem gorzko żałowałam. Teraz to już przeszłość - ciągnęła, widząc, że Izzie pytająco unosi brwi - ale ty jeszcze masz szansę wszystko naprawić.

- Zrobiłam już pierwszy krok - oznajmiła Izzie z ożywieniem. - Postanowiłam zmienić pracę.

- To zły ruch, moja droga - odparła Mavis.

- Ale jedyny, na jaki mnie stać - odrzekła Izzie, a potem skinęła Mavis na pożegnanie i wyszła.

Wmawiała sobie, że postępuje słusznie, że pozostanie w tym szpitalu może tylko doprowadzić do katastrofy, a poza tym jak może grać rolę bezradnej i wrażliwej istotki przy swoim wroście i wadze? Na samą myśl o tym cicho się roześmiała.

- Co cię tak rozbawiło? - spytał Ben, stając tuż za nią.

Uśmiech Izzie natychmiast zniknął, a kiedy odwróciła się do Bena, jej twarz przybrała chłodny wyraz.

- Nie sądzę, żeby pan to zrozumiał, doktorze Farrell.

- Przedtem zwracałaś się do mnie po imieniu - powiedział łagodnie, patrząc jej w oczy.

A ty byłeś dla mnie czuły, pomyślała.

- Czy mogę coś dla pana zrobić, doktorze? - spytała, z roz-

mysłem ignorując jego uwagę, a potem wzięła z rejestracji listę pacjentów. - Jak pan widzi, jestem bardzo zajęta.

Ku jej zaskoczeniu Ben wydał się zakłopotany.

- Po prostu byłem ciekaw, jak się czujesz...

Można by sądzić, że cierpię na jakąś straszną chorobę, pomyślała z rozdrażnieniem. A może chodzi mu o naszą noc...

- Niepokoisz się, że mogę być w ciąży, prawda? - zapytała opryskliwie. - W końcu zawsze możesz zrzucić winę na Steve'a - dodała i odeszła.

Dosyć miała ludzi, którzy ją wykorzystują. Postanowiła, że od tej pory będzie egoistką, a jeśli kogoś niechcący zrani, to trudno. Tess, która wpadła właśnie do izby przyjęć, była najwyraźniej w podobnym nastroju.

- Czasami zastanawiam się, dlaczego to wszystko znosimy - zawołała z wściekłością. - Spędziłam niemal godzinę, usuwając resztki szkła z ręki pewnej kobiety i czy usłyszałam chociaż „dziękuję”? Nie. Jakiś pijany idiota obrzucił mnie obelgami za to, że musiał pół godziny czekać w rejestracji.

- To się podobno nazywa powołaniem - mruknęła Izzie.

- Chyba powinnam zbadać sobie głowę - stwierdziła stażystka pośpiesznie.

Izzie uśmiechnęła się, a potem ruszyła w stronę pokoju dla personelu, by w spokoju wypić herbatę. Jednak kiedy włączyła czajnik, w drzwiach stanął Ben. Wyraz jego twarzy świadczył o tym, że jest w podłym nastroju.

- Herbata czy kawa? - spytała.

- Co to za bzdurne plotki o twoim odejściu? - zapytał.

- To nie są żadne bzdurne plotki - odparła spokojnie, wkładając dwie torebki herbaty do imbryczka. - Doszłam do wniosku, że potrzebuję zmiany.

- Izzie, nie możesz tego zrobić - powiedział. - Nie możesz

uganiać się za takim człowiekiem jak Steve! On cię wykorzysta, narazi cię na ból.

Cóż za tupet! - pomyślała. Przecież jeśli ktokolwiek naprawdę mnie zranił, to właśnie ty.

- Mleko i cukier? - spytała, z trudem zachowując uprzejmy ton, a potem wyjęła z szafki dwa kubki.

- Nie pozwolę ci na to! - zawołała Ben, wrywając kubki z jej dłoni i stawiając je z trzaskiem na blacie. - Nie pozwolę, żebyś zmarnowała sobie życie.

- Och, naprawdę? - spytała, coraz bardziej zirytowana. - A w jaki sposób zamierzasz mnie powstrzymać?

- Izzie, musisz mnie wysłuchać. Wtedy, kiedy zobaczyłem cię ze Steve'em... myślę, że może popełniłem błąd...

- Myślisz, że może popełniłeś błąd? - spytała z rozdrażnieniem. - Przepraszam, że nie biję ci braw za twoją świeżo odkrytą wnikliwość. Co było przyczyną tego rewelacyjnego odkrycia? Czyżbyś przekonał się, że Joanna kłamie i jest egoistką? I znowu pocziwa Izzie jest dobra, tak?

- Nie! - zaprotestował, czerwieniejąc. - Posłuchaj, zapewne nie wyrażam tego zbyt jasno...

- Och, sądzę, że robisz to doskonale - odparła ostro. - A ja mam dla pana nowinę, doktorze Farrell. Pocziwa Izzie nie da się już nikomu okpić po raz drugi!

- Izzie, zaczekaj...

Ona jednak zdecydowanie pomaszerowała do izby przyjęć.

- To była bardzo krótka przerwa na herbatę - rzekła Tess na jej widok.

- Doszłam do wniosku, że nie chcę herbaty - wyjaśniła Izzie. - No dobrze, kto jest następny?

- Pewien czaruś, który nazywa się Robbie Lang. Twierdzi, że pośliznął się nad rzeką i upadł na coś ostrego. Moim zdaniem, wdał się w jakąś bójkę.

Domysły Tess potwierdziły się, gdy do gabinetu zabiegowego wszedł chwiejnym krokiem młody mężczyzna z posiniaczoną twarzą. Izzie, pomagając mu zdjąć zakrwawioną koszulę, dostrzegła na jego klatce piersiowej liczne stłuczenia, które mogły powstać jedynie w wyniku zadanych mu ciosów.

- Czy mam również zdjąć spodnie, kochanie? - wybełkotał pacjent, spoglądając na nią pożądliwie. - Jestem pewien, że tam znajdziesz znacznie ciekawsze rzeczy.

- To nie będzie konieczne, panie Lang - odparła spokojnie, sięgając po waciki.

- Och, to mi się podoba! - zawołał ze śmiechem. - Panie Lang! Lubię uprzejme kobiety. - Jego wzrok spoczął na jej biuście. - Nie mówiąc już o takich, które mają coś pod fartuchem - dodał, chwytając ją za piersi.

Odruchowo zacisnęła dłoń w pięść, a potem ją rozprostowała. Nie możesz dać się ponieść nerwom, upomniała się w myślach. Bez względu na to jak bardzo cię ktoś prowokuje.

- Nie powinien był pan tego robić, panie Lang - powiedziała. - Nie kiedy trzymam w ręku nożyczki.

- Och, daj spokój, kochanie - wybełkotał Robbie. - Wiem, jakie są pielęgniarki, a ty jesteś całkiem niezła.

- Czy jest pan na coś uczulony, panie Lang?

- Nie mam pojęcia, słodziutka.

- Choroby serca, wysokie ciśnienie...?

- Może umówimy się na randkę? - przerwał jej obcesowo.

- Nie sądzę - odparła, a potem jęknęła z bólu, czując silny uścisk jego dłoni na nadgarstku.

- Nie jestem dla ciebie wystarczająco dobry, co? - wybuchnął, zbliżając usta do jej twarzy. - Uważasz się za lepszą ode mnie, tak, ty zarozumiała dziwko?

Poczuła bijący od niego odór alkoholu i zobaczyła jego wy-



krzywioną wściekłością twarz. Nagle drzwi się otworzyły i stanął w nich Ben.

- Jakież kłopoty, siostrzo Clark? - spytał.

- Dam sobie radę - odrzekła spokojnie, pragnąc, by odszedł.

- To narzeczony, kochanie? - spytał pacjent, obrzucając Be-  
na krytycznym spojrzeniem. - Trochę dla ciebie za stary, nie?

- Jeśli puści pan na chwilę moją rękę, to zrobię panu zastrzyk przeciwtężcowy - powiedziała, ignorując jego uwagę.

- Jeśli jesteś jej narzeczonym - ciągnął Robbie - to chyba wiesz, jakie ma cycki. Na pewno duże, prawda?

Izzie jęknęła w duszy. Ben najwyraźniej tracił panowanie nad sobą, a nie chciała, by doszło do jakiejś nieprzyjemnej sceny.

- Na pewno czekają na pana inni pacjenci, doktorze Farrell - powiedziała spiesznie. - Dam sobie radę.

Ben nawet na nią nie spojrział.

- Wypuść rękę siostry Clark ze swojej brudnej łapy - roz-  
kazał ostrym tonem. - I to natychmiast!

- Och, wielkie gadanie wielkiego człowieka! - zawołał  
drwiąc Robbie, przyciągając Izzie bliżej. - A co będzie, jeśli  
tego nie zrobię, przyjacielu?

- Tak oberwiesz, że przeniesiesz się na tamten świat, przy-  
jacielu - wycedził Ben przez zęby.

Oczy pacjenta na chwilę się zwęziły, a potem, zanim Ben  
i Izzie zdążyli wykonać jakiś ruch, w jego dłoni błysnęło zło-  
wieszczo ostrze brzytwy.

- Nie sądzę - mruknął, wstając. - Chyba że chcesz, żeby  
twoja narzeczona miała na zawsze zmienioną twarz.

- Panie Lang - zaczęła Izzie. - Robbie...

- Teraz starasz się być dla mnie miła, co, kochanie? - spytał  
drwiąc, wymachując brzytwą przed jej oczami. - No cóż, jest  
za późno, bo...

Nie dokończył, ponieważ Ben się na niego rzucił. Zaskoczony Robbie rozluźnił uścisk na nadgarstku Izzie, która natychmiast wyrwała rękę. Nagle zauważyła, że brzytwa błyska przerażająco blisko klatki piersiowej Bena. Rzuciła się do przodu w chwili, gdy pięść Bena wylądowała na szczęcie przeciwnika. Gdy Robbie z krzykiem runął na podłogę, do gabinetu wpadło kilka osób, ale Izzie zdawała sobie sprawę tylko z tego, że Ben ją obejmuje.

- Ty idioto! - zawołała zdławionym głosem, czując jednocześnie gniew i przerażenie. - Nad wszystkim panowałam, dopóki nie postanowiłeś zademonstrować tej swojej męskiej odwagi. Czy nie rozumiesz, że on mógł cię zabić?

- Żeby mnie pokonać, nie wystarczy jeden młody rzezimieszek. Do tego musiałyby się zebrać banda oprychów - odrzekł pewnym siebie głosem.

- Obiecuj mi, że więcej nie zrobisz czegoś podobnego...

Nagle urwała, czując, że kręci jej się w głowie. Na białym fartuchu Bena dostrzegła czerwoną plamę.

- Och, mój Boże, jesteś ranny! Rozbierz się, usiądź... Steve! Gdzie jest Steve? - spytała, patrząc z przerażeniem na twarze otaczających ich ludzi. - Na litość boską, zróbcie coś. Czy nie widzicie, że Ben jest ranny, że potrzebuje.

- Izzie, to nie jest moja krew - przerwał jej Ben, szeroko otwierając oczy z przerażenia. - To twoja...

- Moja? - wyszeptwała z niedowierzaniem. - Ale to niemożliwe...

Nagle pociemniało jej w oczach, a głos Bena zaczął odpływać w dal. Och, Mavis, pomyślała, kiedy radziłaś mi grać rolę bezradnej i wrażliwej istotki, nie chodziło ci chyba o to, że powinnam dać się zabić?

- Ben, to jest absurdalne - zaoponowała, kiedy zatrzymał samochód przed swoim domem. - Doktor Evanton stwierdził,

że zemdlałam z powodu wstrząsu, a nie z powodu rany. Nie trzeba było nawet zakładać szwów.

- Powiedział też, że powinnaś spędzić noc w szpitalu - odparł, pomagając jej wysiąść z samochodu. - Skoro jednak odmówiłaś, zostaniesz pod moją opieką.

- Ale...

- Izzie, nie zamierzam z tobą dyskutować - przerwał jej, prowadząc ją ścieżką w kierunku domu. - Jesteś tu i tutaj zostaniesz, nawet gdybym musiał przykuć cię do krzesła.

Izzie zaśmiała się cicho, ale w istocie zranione miejsce tuż pod obojczykiem bolało ją znacznie bardziej, niż chciała przyznać, i myśl o tym, że ktoś się nią zaopiekuje, była cudowna, gdyby tym kimś nie był Ben Farrell.

- Nie musisz tego robić - powiedziała, kiedy wprowadził ją do salonu i posadził na kanapie. - Nie jesteś mi nic winien.

Usiadł obok niej i ujął jej rękę.

- Owszem. Jestem ci winien bardzo wiele i chyba nigdy nie będę w stanie ci się odpłacić. Izzie, wysłuchaj mnie. Nie potrafię kwieciście się wyrażać ani prawie komplementów, ale kiedy w szpitalu upadłaś na podłogę, kiedy zobaczyłem krew i pomyślałem, jak wyglądałoby moje życie bez ciebie... - Urwał i pośpiesznie się uśmiechnął. - Posłuchaj, chyba próbuję ci powiedzieć, że cię kocham.

- A co z Joanną? - wyjąkała ze zdumieniem. - Twierdziłeś, że jest w twoim typie. Powiedziałeś, że...

- Izzie, spotkałem się z tą przeklętą kobietą dwukrotnie i uwierz mi, że o dwa razy za dużo.

- Tylko dwukrotnie? Ale ona jest taka ładna...

- I okropnie niezdolna - dokończył. - Izzie, chyba zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia.

- Jak na człowieka, który nie uważa się za dobrego mówcę - wyszeptała - myślę, że całkiem nieźle dajesz sobie radę.

- Nazwałaś mnie głupcem i miałaś rację. Spotkanie ciebie to najlepsza rzecz, jaka przytrafiła mi się w życiu, i nie pozwolę ci odejść. Nie mów mi, że jest za późno - ciągnął, gdy otworzyła usta, by zaprzeczyć - bo nie przyjmę tego do wiadomości.

- Ben...

- Wiem, że małżeństwo z Caroline pozostawiło we mnie blizny. Wiem też, że nie jestem łatwym partnerem, ale czy wyjdiesz za mnie, Izzie? Czy sądzisz, że byłabyś w stanie mnie pokochać?

Wiedziała, że związek z nim nie będzie łatwy. Mężczyźni, których duma została zraniona, długo odzyskują zaufanie do kobiet. Onajednak chciała dać mu szansę.

- Ben, ja już cię kocham - wyszeptała. - I wyjdę za ciebie choćby jutro, jeśli naprawdę mnie pragniesz.

Spojrzał na nią nie rozumiejącym wzrokiem.

- Jeśli cię pragnę? - zawołał, wstając i obdarzając ją olśniewającym uśmiechem. - Jeśli? - Wziął ją w ramiona i uściśnął tak mocno, że jęknęła z bólu. - Och, przepraszam - szepnął z niepokojem. - Bałem się, że mi odmówisz, a potem poradzisz, żebym skoczył do jeziora.

- Albo do rzeki Tweed - zawołała ze śmiechem, wspominając swą przygodę.

- Och, rzeczywiście. Wiem, że nie powinienem był się wtedy z ciebie śmiać, ale wyglądałaś tak cudownie...

Udała, że wymierza mu kukuśnica w bok, on zaś ponownie wziął ją w ramiona.

- Mam dziwne uczucie, kiedy ich teraz dotykam - powiedział, przesuwając palcami po jej włosach.

- Są okropne, prawda? - spytała z westchnieniem. - Kiedy tylko fryzjerka mi je obcięła, wiedziałam, że to był błąd.

- Dlaczego to zrobiłaś? - spytał ciekawie.

- Żeby się na tobie odegrać - odparła, pąsowiejąc. - Moje

włosy były jedyną rzeczą, którą się zachwyciłaś - dodała pośpiesznie, widząc, że Ben marszczy czoło. - Chciałam ci w ten sposób udowodnić, że mi na tobie nie zależy.

- Przecież wiesz, że cię kocham... całą. Nie mógłbym kochać cię mniej z powodu krótkich włosów. Przyznaję, że podobają mi się, kiedy były długie, ale jeśli chcesz zachować taką fryzurę, to nie mam nic przeciwko temu.

- Nie chcę - zaprzeczyła gwałtownie. - Już nigdy więcej moja noga nie postanie u fryzjera.

- Och, Izzie, czasami zachowujesz się absurdalnie, ale i tak bardzo cię kocham - zawołał ze śmiechem.

- Naprawdę?

- Uhm - mruknął, czule całując ją w czoło. - I poświęcę resztę życia na malowanie twoich portretów.

- Chyba nie w roli królowej elfów? - spytała z rozbawieniem.

Potrząsnął głową.

- Zawsze chciałem skończyć z pejzażami i zacząć malować akty - szepnął zmysłowym głosem, całując ją w szyję.

- Akty? - zawołała. - To znaczy, że chciałbyś, żebym... Och, Ben, to niemożliwe. Może gdybym trochę schudła...

- Nic z tego. Podobasz mi się taka, jaka jesteś.

- Ben, jestem za wysoka i za gruba.

- Ależ skąd. Masz bardzo kobiecą budowę ciała i kocham każdy jego centymetr.

- Naprawdę?

Kiwnął głową.

- Mam zamiar namalować tysiące twoich portretów, żeby to udowodnić - oświadczył, całując ją w usta.

- Chwileczkę - wyszeptała, z trudem łapiąc oddech. - Gdzie chcesz powiesić te wszystkie obrazy?

- W salonie, jadalni, w przedpokoju...

- Wykluczone! - zawołała. - Nie chcę, żeby nasi goście oglądali mnie naga.

Westchnął i ponownie ją objął.

- Dobrze, powiesimy więc jeden twój akt nad naszym łóżkiem.

- Ale to byłoby równie nieprzyzwoite jak umieszczenie lustra na suficie - zaproponowała.

- Lustro na suficie? Też niezły pomysł - przyznał.

- Jeśli sądzisz, że pozwolę ci...

- Porozmawiamy o tym po ślubie - przerwał jej i znów zaczął ją całować.

- Ben, ja tylko żartowałam na temat tego lust...

- Izzie?

- Co?

- To staje się nie do zniesienia! Ja chcę się z tobą kochać, a ty bez przerwy gadasz.

- Wiem, ale...

- Isabello, zamknij buzię.

- Co takiego? - zawołała z oburzeniem.

- Kochanie, przestań wreszcie tyle mówić.

Posłuchała go dopiero wtedy, gdy poczuła na ustach jego wargi.